

BIBLIOTEKA MICHAŁA FRIEDMANA



MENDELE MOJCHER-SFORIM

Podróże Beniamina Trzeciego

tłumaczenie Michał Friedman


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

MENDELE MOJCHER-SFORIM

Podróże Beniamina Trzeciego

TŁUM. MICHAŁ FRIEDMAN

PRZEDMOWA MENDELEGO MOJCHER-SFORIMA

Powiada Mendele Mojcher-Sforim: — Błogosławiony niech będzie Stwórca, który wytyczył ruch planet na wysokościach i ruch wszystkich istot na ziemskim padole. Najmniejsza nawet roślinka nie wyrośnie sama, dopóki nie dźwignie jej anioł, dopóki nie zawoła: „Rośnij! Wyłaź!”. Cóż dopiero człowiek. Ten z pewnością ma swego własnego anioła, który szturcha go i rozkazuje: „Ruszaj się, wyłaź!”. W jeszcze więk-

szym stopniu odnosi się to do ludzi szlache-
nych, do nobliwych Żydów. U nas żaden głu-
piec nie śmie się słowem wyrwać przed inny-
mi. Żaden dureń nie podejmie się udzielania
rad, żaden nieuk nie będzie chasydem¹ i za-
den ignorant nie stanie się maskilem², jeśli nie
popchnie go właściwy anioł. Szturchają i wy-
pychają aniołowie również naszych biedaków.
Wołają przy tym: „Rośnijcie, biedacy, nędza-
rze, golcy od urodzenia lub od wczoraj. Wy
jawni i wy ukryci zebracy, kwitnijcie i rośnij-
cie jako trawa, jako pokrzywa! Ruszajcie w dro-
gę, dzieci moje żydowskie. Idźcie dziadować po
domach!”. Ale nie o tym chciałem. Pragnę,
moi szanowni państwo, opowiedzieć wam, jak
jeden z naszych braci dotarł do bardzo dalekich
krajów i zdobył dzięki temu wielką sławę.

¹*chasyd* — zwolennik ruchu religijno-mistycznego, którego twórcą był Izrael Baal Szem Tow z Podola (XVIII w.). Chasydyzm przeciwstawił się judaizmowi rabinicznemu, kładł główny nacisk na osobistą modlitwę. Zjednoczeniu z Bogiem służyły również ekstatyczne śpiewy i tańce. [przypis tłumacza]

²*maskil* — zwolennik *haskali*, ruchu oświeceniowego propagującego emancypację Żydów poprzez wykształcenie, prowadzącego do niezamierzonej asymilacji. [przypis tłumacza]

Przed rokiem wszystkie angielskie i niemieckie gazety rozpisywały się o tej niezwyklej podróży, którą Beniamin, polski Żyd, odbył do krajów Wschodu. „Jakże to — dziwowano się — Żyd, polski Żyd, bez broni, bez maszyn, z torbą jeno na plecach, z tałasem³ i tefilin⁴ w rękę, dotarł do takich krain, do których nie potrafili dotrzeć nawet najbardziej renomowani podróżnicy angielscy. Nie inaczej, jak tylko dzięki niezwyklej sile, stać to się mogło. Takiej mocy, której zwykłym rozumem nie sposób ogarnąć ani pojąć. Ta bowiem siła jest poza zasięgiem możliwości człowieka. Ale jakby nie było, fakt pozostaje faktem: świat ma do zawdzięczenia Beniaminowi wiele cudownych odkryć, wiele wspaniałych rzeczy, które dzięki niemu zostały nam udostępnione. Mapa świata przybrała przez to zgoła inne oblicze. Sam

³*tałas* — biała chusta zakładana na ramiona podczas modlitwy. [przypis tłumacza]

⁴*tefilin* — filakterie, dwa skórzane pudełka z cytatami z *Pięcioksięgu*. Jedno z nich przytwierdza się podczas modlitwy rzemykiem do czoła, drugie do lewego przedramienia. [przypis tłumacza]

zaś Benjamin w pełni zasłużył na medal, który wręczyło mu Towarzystwo Geograficzne”.

Gazety żydowskie skwapliwie podchwyciły te słowa i przez całe ubiegłe lato wałkowały wdzięczny temat. Jak dziś wiadomo każdemu czytelnikowi, prasa ta zajmowała się dokładnym wyliczeniem wszystkich mędrców narodu żydowskiego od Adama począwszy i na dniu dzisiejszym skończywszy. A wszystko po to, aby udowodnić, jak mądrym narodem są Żydzi. Zamieściła również listę żydowskich podróżników na przestrzeni dziejów, od Beniamina Pierwszego⁵, tego sprzed siedmiuset lat, oraz Beniamina Drugiego⁶ do całej plejady innych podróżników, odbywających dziś wędrówki po świecie.

⁵*Beniamin Pierwszy*, właśc. *Beniamin z Tudeli* (XII w.) — syn rabina z Saragossy, w latach ok. 1160–1173 podróżował przez południową Europę i Azję Mniejszą; pozostawił po sobie opis miejscowości zamieszkałych przez Żydów w Palestynie, Egipcie, Syrii, Persji i na południu Europy. [przypis edytorski]

⁶*Beniamin Drugi*, *Beniamin II*, właśc. *Israel Joseph Benjamin*, częściej: *J.J. Benjamin* (1818 – ok. 1864) — rumuński Żyd, który odbył i opisał podróż po Afryce i Azji (1845–1851), gdzie poszukiwał Dziesięciu Zaginionych Plemion Izraela. Swoje książki publikował jako Beniamin II, co jest nawiązaniem do postaci XII-wiecznego podróżnika Beniamina z Tudeli. [przypis edytorski]

I jak to zwykle bywa u Żydów, dla uwy-puklenia znaczenia podróży naszego obecne-go Beniamina, nie pozostawiono suchej nitki na pozostałych globtroterach. Prasa podkre-ślała, że współcześni podróżnicy to tylko zgra-ja zwyczajnych włóczykijów, nie mających po-jęcia o życiu, zaś, pożał się Boże, ich podró-że przypominają w najlepszym wypadku włó-częgę żebraków chodzących po prośbie. Mają się oni do naszego Beniamina Trzeciego, tego prawdziwego, autentycznego podróżnika, ni-czym mała do człowieka. Pisząc o nim i o książ-kach poświęconych jego podróży posłużę się znanym wersetem: „Takiego pachnidła jeszcze nie było”. A mówiąc prościej: „Na żydowskiej glebie roślina o równie wspaniałym aromacie dotychczas jeszcze nie wzeszła”. „Błogosławio-ny i po wsze czasy niech będzie ceniony jak brylant ten — wołano zgodnym chórem — który cudowny i bezcenny skarb, jakim jest je-go podróż opisana we wszystkich obcych języ-kach, przetłumaczy na święty język hebrajski.

Niech Żydzi również zakosztują miodu z barci żydowskiej i niechaj światłość roztoczy się przed ich oczyma”.

Ja zaś, Mendele Mojcher-Sforim, którego celem zawsze było służyć swemu narodowi, swoim braciom, podług sił i możliwości, nie mogę się powstrzymać, by nie rzec: „Zanim pisarze żydowscy, którym do pięć nie dorosłem, zdążą się wyspać i napisać książkę o podróżach Beniamina po hebrajsku, ja spróbuję tymczasem opisać ją w skrótovej formie prostym językiem żydowskim”.

Niczym siłacz napiąłem wszystkie mięśnie i nie bacząc na to, że jestem stary i słaby, zadałem sobie trud, aby zwrócić uwagę na takie rzeczy, które mogą się okazać przydatne dla dzieci Izraela. Postanowiłem opisać je zgodnie ze swoim zwyczajem, zwięźle i prosto. Czuję, jak mnie z góry już chłoszczą słowami: „Obudź się, Mendele! Wstań i wyłaź z za pieca! Idź, nabierz pełne naręcza pachnących roślin z ogrodu Beniamina. Przyrządź z nich smakowitą potra-

wę dla twoich braci. Taką potrawę, jaką lubią”. I wyszedłem, przy pomocy Boga, z za pieca, i przyrządziłem to oto smakowite danie, które stawiam teraz przed wami.

Skosztujcie, Szanowni Państwo, i niech wam wyjdzie na zdrowie.

ROZDZIAŁ PIERWSZY. KTO TO JEST BENIAMIN, SKĄD POCHODZI I JAK ZRODZIŁA SIĘ W NIM MYŚL O PODRÓŻY

Urodziłem się — powiada Beniamin III — i wyrosłem w Tuniejadówce. Tu spędziłem niemal całe życie, to znaczy aż do czasu mojej wielkiej podróży. W Tuniejadówce szczęśliwie ożeniłem się z moją cnotliwą połówicą, panią Zeldą, oby długi miała żywot.

Tuniejadówka to mała miejscina. Leży w zapadłym zakątku, z dala od głównych traktów, prawie zupełnie odcięta od świata. Dlatego też, jeśli ktoś do niej przypadkiem zawita, otwierają się na oścież okna i drzwi we wszystkich do-

mach. Ludzie nie mogą się nadziwić przyby-
szowi. Wychylając się z okien, zadają sobie py-
tania: „Kto to może być? Skąd się tu ni z tego,
ni z owego zjawił? Czego też może chcieć? Nie
zamierza aby czegoś złego? To nie takie pro-
ste: wziął i przybył! Tak nie może być. W tym
coś tkwi, trzeba to koniecznie wyjaśnić!”. Póki
co, każdy usiłuje popisać się mądrością i prze-
nikliwością. Teorie zaś, z palca wyssane, mno-
żą się jak śmieci. Starsi opowiadają przy oka-
zji niestworzone historie. Przytaczają podobne
przykłady z minionych lat. Dowcipnisie ma-
ją na podorędziu stosowne i celne powiedzon-
ka. Prostacy zaś trzymają się za brody i tyl-
ko uśmiechają skrycie. Starsze kobiety, ot tak
sobie, dla kawału, sztorcują dowcipnisiów. Na
przemian śmieją się i udają gniew. Młodzi spuszc-
zają oczy, zasłaniają dłońmi usta i duszą się ze
śmiechu. Rozmowy zataczają coraz szersze krę-
gi. Przenoszą się z domu do domu niczym kula
śnieżna, która, tocząc się, ogromnieje. Zaglą-
dają wreszcie do bożnicy, za piec, gdzie koń-
czą swoją wędrówkę wszystkie możliwe tema-

ty. Obojętnie, czy dotyczą one sekretów rodzinnych, czy wielkiej polityki. Mogą poruszać problemy Stambułu, pozycji Turcji czy Austrii w ogóle lub zgoła zahaczać o sprawy handlowe — majątek Rotszylda w porównaniu z fortuną obszarników bądź innych wielkich bogaczy. Krążą również pogłoski o złych ukazach carskich i Czerwonych Żydach⁷. Tematów jest zresztą mnóstwo. Za piecem w bożnicy regularnie zbiera się specjalny komitet, składający się z poważnych i wykształconych Żydów. Obradują przez cały bity dzień do późna w nocy. Bez reszty pochłonięci są pracą. Czynią tak nie z pobudek materialnych, nie otrzymują bowiem za to złamanego szeląga. Pracują dla chwały Imienia Pańskiego. Zdarza się, że wybrane kwestie przenoszą się ze stołu obrad za piecem na wokandę w łaźni, na najwyższą ławkę. Tam w obecności gremium, czyli miejsco-

⁷*Czerwoni Żydzi a. zaginione plemiona* — część narodu izraelskiego, która została przesiedlona przez Asyryjczyków po upadku Królestwa Izraela w końcu VIII w. p.n.e. Biblia ani inne źródła nie podają jednoznacznie, co się z nimi stało, dlatego w tradycji żydowskiej trwa nadzieja, że potomkowie zaginionych Żydów żyją gdzieś w ukryciu i kiedyś połączą się z narodem. [przypis edytorski]

wych szanownych obywateli, po dłuższej dyspucie wszystkie sprawy zostają rozstrzygnięte i opatrzone starą żydowską formułą używaną przy sporządzaniu dokumentów: „Wszystko jest zgodne z prawem i od dziś nabiera mocy urzędowej”. Gdyby nawet potem zjawili się wszyscy królowie ze Wschodu i Zachodu i domagaliby się poczynienia zmian w orzeczeniu, niczego by nie wskórali.

Na jednym z zebrań, odbytych na najwyższej ławce w łaźni, omal nie doszło do definitywnej klęski Turczyna⁸. A gdyby innym razem kilku zacnych obywateli nie trzymało sztafki z Rotszyldem, to kto wie, co by się z tym niebogą stało. Niewiele brakowało, a Rotszyld straciłby na ławce od dziesięciu do piętnastu milionów. Pan Bóg w kilka tygodni później dopomógł i uratował Rotszylda. Ludzie, jak to mówią, byli trochę pod muchą. Na górnej ławce panowało ożywienie, miotełki w ciągłym ru-

⁸*Turczyn* (daw.) — Turek; tu: Turcy, Turcja, Imperium Otomańskie (w skład którego wchodziła Jerozolima w latach 1517–1917). Akcja opowieści rozgrywa się w czasie wojny krymskiej (1853–1856), toczonej przez Rosję przeciwko Turcji, którą wspierali Brytyjczycy, Francuzi i Królestwo Sardynii. [przypis edytorski]

chu: nagle doszło do ugody i pozwolono Rotzsyldowi na sto pięćdziesiąt milionów czystego zysku.

Natomiast mieszkańcy Tuniejadówki, niech was Bóg uchroni od ich losu, to prawie sami biedacy do potęgi. Okropni nędzarze, ale gwo-li prawdy trzeba powiedzieć, że mają pogodne usposobienie, nawet poczucie humoru. Rzecz można, niepoprawni optymiści. Gdyby znie-nacka zapytać Żyda z Tuniejadówki: „Z czego się utrzymujesz? Z czego żyjesz?”, najpierw stanąłby jak wryty. Nie wiedziałby, co odpowiedzieć. Po chwili jednak doszedłby do siebie i odpowiedział naiwnie: „Ja? Z czego żyję? Też mi pytanie! Jest przecież Bóg na świecie. Oto i cała sprawa. On nie opuszcza żadnego ze swoich stworzeń. On daje i będzie dawał. Oto, co mam wam do powiedzenia!”.

„A jednak, czym się pan zajmuje? Czy ma pan jakąś pracę? Jakiś fach w ręku?” „Chwała Bogu. Mam, dzięki Bogu. Tak, jak tu stoję przed wami. Otrzymałem od Niego piękny dar, mam piękny głos. Umieję śpiewać. Pod-

czas świąt jestem kantorem, obsługuję całą okolicę. W pewnym stopniu jestem też rzezakiem. Przed Pesach⁹ zaś robię krążkiem dziury w macach. Nikt mi nie dorównuje w tym zajęciu. Od czasu do czasu kogoś wyswatam. Mam też, jak mnie tu widzicie, stałe miejsce w bożnicy. Na dodatek, ale niech to pozostanie między nami, dzierzawię skromny szynk; zawsze coś z niego wydoję. Mam również kozę, która daje, bez uroku, trochę mleka. Niedaleko stąd mieszka mój bogaty krewniak. Gdy bieda przyciśnie, gdy robi się ciężko, mogę go troszeczkę poskubać. Ale nade wszystko, powiadam wam, jest Bóg. On jest Ojcem, a synowie Izraela pełni są miłosierdzia. Dlatego też stanowczo stwierdzam, że nie należy narzekać. Nie wolno grzeszyć narzekaniem!”

Na chwałę mieszkańców Tuniejadówki trzeba zapisać, iż zadowolają się tym, co Pan Bóg im zsyła. Nie przebierają w potrawach ani w strojach. Służę przykładem: kapota sobotnia mo-

⁹*Pesach* — Pascha, Wielkanoc, Święto Wolności upamiętniające wyjście Żydów z Egiptu. [przypis tłumacza]

że być podarta, postrzępiona, może się rozlatywać, może nawet być brudna. Nie przeszkadza to nikomu. Ważne, że z atlasu. Grunt, że błyszczący. Przypomina rzeszoto? Prześwieca przez nią nagie ciało? Nic strasznego! Kogo to może obchodzić? Kto na to będzie patrzył? Weźmy, na przykład, pięty: wyłazą z butów. A czyż pięty — to nie ciało? Żywe, ludzkie ciało?

Porcja chleba i trochę krupniku to bardzo dobry obiad. Cóż dopiero bułka z kawałkiem rosołowego mięsa w piątkowy wieczór! Oczywiście, jeśli akurat jest. To ci dopiero królewska potrawa, ale pycha! Chyba nie ma nic lepszego na świecie! Spróbuj opowiedzieć mieszkańcom Tuniejadówki o tym, że istnieją inne potrawy poza zupą rybną, pieczonym mięsem, cymesem z marchwi lub pasternaku, a twoja opowieść wyda im się wręcz niewiarygodna. Mają na takie bajania wiele prześmiesznych określeń. Uważają, że ten, który mówi o zaletach fantastycznych potraw, zasługuje na miano durnia lub wariata. Gada, bo ma zamiar zrobić z nich wariata. Chce im wmówić choro-

bę. Chce ich przekonać, że krowa fruwała nad dachem i złożyła jajko. Chleb świętojański na Chamisza Asar Biszwat to przepyszny specjał. Gdy patrzysz nań, przypominasz sobie Ziemię Świętą, Ziemię Izraela. Człowiek wytrzeszcza wtedy oczy i wzdycha: „I poprowadzisz nas triumfalnie i obyś nas zawiódł, Ojczyźnie Serdeczny, z radością co się zowie, do kraju naszego, ziemi naszych przodków. Kraju, w którym kozy zjadają się na co dzień chlebem świętojańskim”.

Zdarzyło się, że ktoś przywiózł do miasta daktyl. Trzeba było widzieć, jak ludzie się zbiegli, aby obejrzeć to cudo! Otwarto *Pięcioksiąg* i sprawdzono, że *tamar*, czyli daktyl, jest w nim wymieniony. Zatem daktyl rośnie w Izraelu. Ludzie spoglądali na owoc wyobrażając sobie, że oto mają przed sobą Ziemię Izraela. Właśnie przekraczasz, człowieku, rzekę Jordan. A tu masz przed sobą grobowiec Abrahama, grobowiec Racheli. Ścianę Płaczu. Zażywasz kąpieli w Jeziorze Tyberiadzkim. Wspinasz się na Górę Oliwną. Objadasz chlebem świętojańskim i dakty-

lami. Napelniasz kieszenie ziemią Izraela. Towarzyszyły temu westchnienia, a nawet łzy kręciły się w oczach.

W owym czasie — opowiada Beniamin — cała Tuniejadówka, od najmłodszych do najstarszych, przebywała w Izraelu. Z zapałem rozprawiano o Mesjaszu. Ani się spostrzeżono, że oto minęło już południe dnia piątego.

Niedawno przybył do miasteczka nowy przystaw¹⁰ i zaczął twardą ręką sprawować rządu. Zdążył już kilku Żydom zerwać jarmułki z głowy. Komuś obciął pejs. Paru przyłapanych nocą w ciemnym zaułku bez paszportu kazał aresztować. Innemu natomiast zajął kożę, bo zżarła nowy słomiany dach. Ze względu na niego obradujący za piecem komitet dobrał się do Turczyna. Jak długo, spekulowano, będzie się jeszcze panoszył? Debaty na ten temat przeplatały opowieściami o dziesięciu zaginionych plemionach¹¹ Izraela. Powiadano o nich, że pędzą

¹⁰*prystaw* (ros. *npucmae*) — tu: komisarz policji w carskiej Rosji w XIX w. [przypis edytorski]

¹¹*zaginione plemiona* — część narodu izraelskiego, która została przesiedlona przez Asyryjczyków po upadku Królestwa Izraela w końcu VIII w. p.n.e. Biblia

szczęśliwy żywot w dalekich stronach. Zażywają chwały, zgromadziły bogactwa i otoczone są szacunkiem. Wspominano historię o Czerwonych Żydach, synach Mojżesza, zabarwiając ją fantastycznymi opowieściami o ich męstwie i odwadze.

Eldod Hadani odegrał w tym, ma się rozumieć, niemałą rolę. Benjamin zawdzięcza mu w dużym stopniu podróż, którą wkrótce potem przedsięwziął.

Dotąd Benjamin żył jak kurczę w saku¹², niczym robak w chrzanie. Był przekonany, że za Tuniejadówką kończy się świat i nigdzie mu nie będzie lepiej.

„Sądziłem — powiada Benjamin — że nie można i nawet nie wypada być bogatszym od miejscowego arendarza. Niemały ma przecież majątek! Co za dom i jakie w nim rzeczy! Cztery pary mosiężnych lichtarzy, sześcioramienna

ani inne źródła nie podają jednoznacznie, co się z nimi stało, dlatego w tradycji żydowskiej trwa nadzieja, że potomkowie zaginionych Żydów żyją gdzieś w ukryciu i kiedyś połączą się z narodem. Zaginione plemiona bywają też nazywane Czerwonymi Żydami (*Die Roite Yiddelech*). [przypis edytorski]

¹²sak — tu: torba, worek, siatka. [przypis edytorski]

lampa wisząca, zwieńczona orłem. Dwa miedziane garnki. Do tego pięć miedzianych patelni. Półka talerzy cynowych i chyba z tuzin tombakowych¹³ łyżek. Dwa srebrne pucharki. Balzaminka¹⁴. Świecznik chanukowy¹⁵. Zegar jak cebula. Dwie koperty¹⁶ z grubym łańcuszkiem, z paciorków. Dwie krowy, jeden cielak oraz dwie kapoty sobotnie i jeszcze, jeszcze wiele dóbr. Sądziłem również, że na świecie istnieje jeden tylko, jedyny mędrzec. A jest nim reb Ajzyk Dawid, syn reb Arona Josła i Sary Zlaty. O reb Ajzyku Dawidzie nie na próżno mówią przecież, że za młodu opanował tajniki ułamków. Przy odrobinie szczęścia mógł nawet zostać ministrem. Albo Chajkl Jakała.

¹³tombakowy — imitujący złoto, zrobiony z mosiądzu czerwonego (stopu 80% miedzi z cynkiem). [przypis edytorski]

¹⁴balzaminka, dziś raczej: balsaminka — niewielkie naczynie liturgiczne, w którym trzyma się kadzidelka albo pachnące zioła. [przypis edytorski]

¹⁵chanukowy — związany z Chanuką (Chanuke), świętem upamiętniającym wznowienie kultu religii mojżeszowej w odrestaurowanej Świątyni Pańskiej (165 r. p.n.e). [przypis tłumacza]

¹⁶koperta z łańcuszkiem — tu: zegarek kieszonkowy na łańcuszku a. samo blaszane pudełeczko, w którym mieści się taki zegarek. W XIX i na początku XX w. zegarek kieszonkowy uważano za oznakę elegancji i zamożności, dlatego biedni czasami nosili sam łańcuszek, wystający z kieszeni. [przypis edytorski]

Kto mógł dorównać mu prezencją? Kto miał obrotniejszy od niego język? Albo znów nasz doktor, nasz lekarz? Potrafi umarłych do życia przywrócić. Powiadano, że znajomość sztuki lekarskiej przejął od pewnego Cygana, podobno w prostej linii potomka kapłanów egipskich”.

Bądź co bądź, życie w miasteczku wydawało się Beniaminowi niezwykle piękne i dobre. Prawda, on sam żył w niedostatku. Żona i dzieci chodziły w połatanych ubraniach. Ale czy kiedykolwiek wpadło Adamowi i Ewie do głowy wstydzić się tego, że paradowali po rajuguło i boso?

Cudowne opowieści o Czerwonych Żydach, o zaginionych dziesięciu plemionach, zapadły mu głęboko w serce. Odtąd miasteczko stało się dla niego za ciasne. Ciągnęło go do dalekich krajów. Serce rwało się do tamtych nieznanych stron tak, jak wyrywają się ku księżycowi wyciągając rączki dzieci. Na pierwszy rzut oka niby nic. Czym jest daktyl? Czym prystaw, jarmułka i pejs? A nieszczęsny Żyd, nocą poj-

many w zaułku? Czym wreszcie koza lub dach słomiany? Wszystko to jednak, razem wzięte, dokonało w nim metamorfozy. Spowodowało, że przedsięwziął sławną podróż. Na tym świecie nieraz tak już bywa, że z małych rzeczy powstają te wielkie. Oto chłop sieje pszenicę i żyto. Młynarz przepuszcza zboże przez młyn. Część mąki poszła do gorzelni i zamieniła się w wódkę. Część dostała się w ręce szynkarki Gitli. Rozczyniła ona mąkę, ugniotła, zmiesiła i wyszło ciasto. Tysiące lat temu Fenicjanie posiadli umiejętność wytwarzania szkła. Tak powstały szklanki i kieliszki. Z powodu błahych wypadków pojawiali się w różnych miejscach zarówno nieudolni przywódcy kahału¹⁷, jak też znakomite i sławne jednostki.

Możliwe, że w Beniaminie tliła się iskierka podróżnika. Zgasłaby jednak niechybnie, gdyby nie podsycaly jej owe wspomniane przeze mnie drobnostki, opowieści z okresu poprzedzającego wyprawę. A nawet jeśliby ta iskra nie zgasła, to bez nich Beniamin nie miałby

¹⁷*kahał* — gmina żydowska. [przypis tłumacza]

tak wielkiej mocy. Z upływem lat może byłby z niego woziwoda albo najwyżej bałagula¹⁸.

Spotkałem w moim życiu wielu bałagulów. Spotkałem też wielu łaziebnych, którzy mogli zostać podróżnikami. Klnę się, że nadawali się na podróżników nie gorzej od wielu wędrujących dziś po świecie Żydów. Ale nie o tym chciałem mówić.

Najpierw Beniamin począł pilnie studiować opisy podróży morskich i pustynnych rabiego Bar Chone. Sięgnął również po książkę Eldoda Hadani oraz po relację z podróży Beniamina, który przed siedmiuset laty wyruszył na krańce świata. Studiował również *Sziwchej Jeruszolaim* wraz z suplementem oraz *Cel Olam*, broszurę, która na siedmiu kartach niewielkiego formatu mieści dorobek wszystkich siedmiu dziedzin wiedzy. Przytacza ona ponadto opisy osobliwości i cudów całego świata, mówi także wiele o dzikich i tajemniczych istotach. Te właśnie lektury otworzyły mu oczy i dokonały w nim przemiany. „Byłem — po-

¹⁸bałagula (daw.) — furman, woźnica. [przypis edytorski]

wiada Benjamin w swoim dziele — wprost zafascynowany tymi cudownymi opowieściami. Nieraz wyrywał mi się z ust okrzyk zachwytu: — Gdybyż Pan pozwolił mi ujrzeć na własne oczy choć jedną setną tych wspaniałości! A myśli moje wędrowały już wówczas hen daleko, daleko”.

Odtąd Tuniejadówka stała się dla niego za ciasna. Postanowił wyrwać się z niej za wszelką cenę. Był niczym kurczę, które pragnie nareszcie przebić skorupkę jajka.

ROZDZIAŁ DRUGI. JAK BENIAMIN ZOSTAŁ MĘCZENNIKIEM, A ZELDA SŁOMIANĄ WDOWĄ

Z natury nasz podróżnik był wielce bojaźliwy. W nocy bał się wyjść na ulicę. Mowy nie było, by spał sam w izbie. Choćby go ozłocono. Dla niego opuszczenie miasta równało się utracie życia. Mało bowiem, uchowaj Bóg, może się zdarzyć? Na widok najmniejszego choćby kundla trzął się z przerażenia.

— Pewnego razu — opowiada Beniamin — pamiętam to jak dziś, a było to w czerwcu, upał niemożliwy, nasz rebe w towarzystwie jednego ze swoich uczniów wybrał się nad rzekę, aby zażyć kąpieli. Wraz z kilkoma kolegami poszedłem za nim. Okazując szacunek rebemu znajdowaliśmy się w odpowiednim oddaleniu. Mieliśmy pewność, że czeka nas niezła przygoda. Wierzyliśmy, iż zdając się na rebe go, powrócimy szczęśliwie do domów. Przecież nie idziemy z byle kim! Jest z nami rebe, do którego tylu ludzi żywi głęboki szacunek. Samo wyliczenie wszystkich jego tytułów zajęłoby całą stronicę. Tymczasem rebe, nasza ostoją, nasz obrońca, nasz puklerz, szybkim marszem zmierzał w kierunku rzeki. My zaś, jak powiedziałem, szliśmy nieco z tyłu. Gdy rebe nad brzegiem rzeki rozbierał się, niespodziewanie wyskoczył jakiś łobuziak i poszczuł go psem. Wówczas nasz obrońca, nasza opoka, ledwo żywy ze strachu, jedną ręką podtrzymując, za przeproszeniem, rozpięte spodnie, drugą zaś myckę, wziął nogi za pas. My, rzecz jasna, stra-

ciliśmy zupełnie głowy. Jeśli bowiem sam Lewiatan dał się złapać na wędkę, to co my, płotki, mogliśmy tu działać? Naprężyliśmy mięśnie i chyżo, niczym jelenie, rzuciliśmy się do ucieczki. Gorzko zawodząc i krzycząc wniebogłosy, popędziliśmy co koń wyskoczy do miasta. Bez tchu niemal dopadliśmy równo z rebem rogatek. W mieście powstał popłoch. Ze wsząd zbiegli się ludzie. Krzyczano: „Pali się! Biją! Mordują!”.

Gdy Beniamin postanowił wyruszyć do dalekich krajów, postanowił przede wszystkim przezwyciężyć strach. Zamierzał wzmocnić się duchowo. W tym celu zmuszał się do dalekich spacerów, najczęściej późną nocą. Sypiał w pustym pokoju. Zapuszczał się daleko poza miasto. Nie zważał na to, że bezustanne zmaganie się z lękiem kosztowało go dużo zdrowia, że zmizerniał i schudł. Jego odmiana, jego blada, zamyślona twarz i częste zniknięcia zdumiewały ludzi. Wzięto go na języki, nicowano na wszystkie strony. Jedni utrzymywali, iż z pewnością zwariował. Ma zwyczajnie pomie-

szane w głowie. Po pierwsze — uzasadniali — Beniamin jest przecież nieco głupkowaty. Brak mu piątej klepki. A poza tym od kilku lat Tuniejadówka nie ma swego pomyleńca. Rzecz to bowiem powszechnie znana i nieraz dowiedziona, że każde miasto winno mieć własnych mędrców i własnych wariatów. Nie ma takiego miasta, które by ich nie posiadało. Zwłaszcza teraz, gdy nadeszły takie upały. Dlaczego więc nie wysnuwać z tego faktu najprostszego wniosku, że Beniamin jest szaleńcem? Inni natomiast, na przykład reb Ajzyk Dawid, syn reb Arona Josła i Sary Zlaty, wzruszali tylko ramionami: — Co tam, gdzie tam! Nie da się wprawdzie zaprzeczyć, że Beniamin jest trochę słaby na umyśle, bardzo nawet przygłupi. Z tego jednak bynajmniej nie wynika, że musi być również wariatem. Gdyby tak było, to dlaczego zwariował dopiero teraz, nie zaś wcześniej? Przed dwoma laty, a także rok temu upały były przecież niepomiernie większe. Jakież więc stąd wniosek? Wniosek nasuwa się sam. Weźmy dla przykładu naszą rzekę. Rzeka nasza, a fakt to

niezbity, co roku pochłania człowieka. Od kilku jednak lat nikt się w niej nie utopił. Przeciwnie. W ostatnich latach poziom wody obniżył się. Gdzieś tam można przejść suchą nogą. A co do Beniamina, to zostawmy go w spokoju. Najliczniejsi jednak, a wśród nich kobiety, twierdzili z uporem: — Ani chybił, ma kontakt z Nim... Nie ulega wątpliwości, że zadaje się z Nim... z Diabłem. Bo jakże inaczej można wytłumaczyć jego zniknięcie? Jak objaśnić jego długie nieobecności? Dlaczego samotnie sypia w spizarni? Zelda, jego małżonka, opowiada, że w nocy słyszy, jak w spizarni coś stuka. Słyszy czyjeś kroki...

Rozmowy na ten temat przywędrowały, jak zwykle, do bożnicy, za piec, a stamtąd trafiły na najwyższą ławkę w łaźni. Tam także nie zdołano wypracować jednolitego poglądu na sprawę Beniamina. Uradzono przeto powołać specjalną komisję składającą się z kilku poważnych Żydów i sofera¹⁹. Miała ona chodzić od domu do domu i na podstawie listy sprawdzić wszyst-

¹⁹*sofer* — pisarz, skryba. [przypis edytorski]

kie mezuzy²⁰. A ponieważ zgromadzenie potraktowało sprawę nader poważnie, uznało ją za problem dotyczący całej społeczności, mogący poważnie zaważyć na losach miasta, postanowiono, dla pokrycia ewentualnych wydatków związanych z pracami komisji, podnieść ceny na mięso.

W Tuniejadówce krąży powiedzonko: „Od czego nie zacząć rozmowy, zawsze się zejdzie na temat śmierci”. O czym by nie debatowano na zebraniu, za każdym razem kończyło się na podatku od mięsa. W istocie rzeczy jest to zjawisko normalne. Nawet nie może być inaczej. Tak dyktuje rozum. Przeznaczeniem człowieka jest bowiem śmierć, zaś losem każdego Żyda jest podatek. Prościej mówiąc, każdy człowiek musi umrzeć, a każdy Żyd — płacić podatek. Śmierć i podatek, z natury swojej, to dwie rzeczy, od których ani rusz nie można się uwolnić. Już tak stworzył Pan Bóg nasz świat. I jest to

²⁰*mezuzza* — zwitek pergaminu zawierający tekst z *Biblii* umieszczony w błaznym lub drewnianym futerale przybitym do drzwi domu. [przypis tłumacza]

dobre. Widocznie tak musi być. Pytania natomiast zadają tylko heretycy...

W jakiś czas później Beniaminowi przytrafiła się przygoda, dzięki której jego sława wzrosła. Pewnego dnia wyszedł z miasta. Był upalny dzień lipca, godzina dwunasta, samo południe. Słońce piekło niemiłosiernie. Beniamin zawędrował do lasu. Nawet nie zauważył, jak znalazł się pomiędzy drzewami. Pokonał odległość prawie dwu stref sobotnich. Przy sobie miał książki, bez których się nie ruszał. Siadł pod drzewem i pogrążył się w zadumie. A miał o czym rozważać. Wkrótce jego myśli uleciały daleko, przeniosły się do krajów, które leżą gdzieś na krańcach świata. Oto zdobywa góry, pokonuje doliny, przemierza pustynie, dociera do miejsc, które opisano w jego książkach. Wędruje śladami Aleksandra Macedońskiego i Eldada Hadaniego. Spotyka straszliwego smoka. Atakują go węże, napotyka jakieś fantastyczne potwory. Wyrastają przed nim najrozmaitsze przeszkody. Oto zwyciężył przeciwności i znalazł się wśród Czerwonych Żydów.

Rozmawiał z synami Mojżesza. Potem wraca szczęśliwie do siebie. Rozmyśla. Właśnie siedzi pod drzewem i zastanawia się, w jaki sposób zrealizować zamierzoną podróż.

I tak zastała go noc. Wstał, rozprostował kości i ruszył z powrotem. Idzie, idzie, ale z lasu wydostać się nie może. Mija godzina, już minęły dwie. Potem przeszła trzecia i czwarta, a końca drogi wciąż nie ma. Zabrnął w las z kretesem. Dookoła ciemno choć oko wykol. Naraz zerwała się burza, spadł ulewny deszcz. Błyskało i grzmiało, groźnie szumiały drzewa. Strach! Benjamin przystanął. Deszcz go przemoczył. Ze strachu i zimna szczekał zębami. Wydawało mu się, że oto napada na niego niedźwiedź. Oto czyha w krzakach lew. Czai się lampart. Zbliża się matul, potwór wymieniony w książce *Cel Olam*. Potężny stwór o dwóch długich łapach. Słonia potrafi powalić. Benjaminowi ciarki przeszły po ciele. Na dodatek był śmiertelnie głodny. Od rana nie miał w ustach niczego poza gryczanym pierogiem. Przerażony

zaczyna odmawiać wieczorną modlitwę. Modli się żarliwie, całym sercem.

I Bóg przychodzi mu z pomocą. Poczęło świtać. Nasz Benjamin zdaje się na łaskę Boga i znowu rusza w drogę. Wędruje więc, aż wreszcie natrafia na ścieżkę. Przez dwie godziny idzie tą ścieżką. Nagle słyszy wołanie. Miał się uradować — przeraził się. Sądził, że to rozbójnik. Ogarnięty strachem rzuca się do ucieczki. Wnet jednak przychodzi do siebie. Tfu, Beniaminie! Chcesz pokonać dalekie morza i pustynie, które roją się od różnych potworów, wszelakich bestii i dzikich ludzi, a na samą myśl o spotkaniu z rozbójnikiem ogarnia cię strach? Nieładnie! Uwierz mi! Powinieneś się wstydzić, Beniaminie! Aleksander Macedoński dosiadł raz orła, nadział mięso na szpic włóczni i wysunął ją przed dziób ptaka. W ten sposób wzbijał się coraz wyżej i wyżej, aż spostrzegł, że orzeł porzął mięso. Lecz Aleksander Macedoński nie cofnął się. Nie stchórzył. Wyciął z własnego ciała połec żywego mięsa i podał orłowi. Proszę cię, Beniaminie: bądź silny! Bóg chce cię tylko

poddać próbie. Jeśli wyjdiesz z niej zwycięsko, będzie dobrze. Nawet więcej niż dobrze. Wtedy, Beniaminie, w pełni zasłużysz na miano człowieka. Staniesz się godnym łaski bożej, osiągniesz swój cel. Dotrzesz do synów Mojżesza i będziesz miał okazję porozmawiać z nimi na temat naszych Żydów. O tym, co robią i czym się zajmują. Jeśli teraz zwycięsko przejdziesz przez próbę i w porę zawrócisz w stronę głosu, to możesz być pewny, że żadne strachy cię nie zmogą, żadne lęki nie będą cię dręczyć. Staniesz się wzorem doskonałości, dzieci Izraela będą cię błogosławić. Przysporzysz sławy Tuniejadówce. Od tej chwili Tuniejadówka i Macedonia figurować będą obok siebie jako równe sławą. Jedna dzięki Aleksandrowi Tuniejadowskiemu, druga dzięki Beniaminowi Macedońskiemu.

Naturalnie nasz Beniamin zawrócił. Pokrzepiony na duchu, nabrał otuchy i ruszył w kierunku domniemanego rozbójnika. Był nim chłop, wiozący do miasta na wozie zaprzężonym w parę wołów worki ziemniaków.

— Dzień dobry! — zawołał szybko Beniamin. Głos miał przy tym dziwny, pełen rozmaitych odcieni. Wydał ni to krzyk, ni to prośbę. Coś pomiędzy: „Możesz ze mną zrobić, co ci się żywnie podoba” a: „Laboga! Miej litość, zmiłuj się nad moją żoną, nad moimi biednymi dziećmi!”. Powiedziawszy albo lepiej — wykrzyknawszy, albo jeszcze lepiej — wyplakawszy to *dobry deń*²¹, Beniamin zapomniał języka w gębie. Uczuł, że coś go dusi, zakręciło mu się w głowie. W oczach pociemniało, nogi odmówiły posłuszeństwa. Jak martwy osunął się na ziemię.

Gdy przyszedł do siebie i otworzył oczy, zorientował się, że leży na wozie, na ogromnym worku kartofli, przykryty grubym kocem. U jego wezgłowia szamotał się spętany kogut. Jednym okiem gapił się na Beniamina i jednocześnie drapał go pazurami. Przy nogach posłania stały koszyki pełne młodego czosnku, cebuli i innych jarzyn, prawdopodobnie także jaj. Pył słomiany unosił się w powietrzu i wci-

²¹*dobry deń* (z ukr. *добрий день*) — dzień dobry. [przypis edytorski]

skął do oczu. Chłop siedział na wozie i kurzył fajkę. Raz po raz pokrzykiwał na woły: „Sop, haj, sop!”. Zwierzęta poruszały się ociężale. Koła wozu okropnie skrzypiały. Każde wydawało odmienny dźwięk. W sumie wychodził koncert skrzypcowy, od którego bębenki pękały w uszach. Kogutowi również muzyka ta nie przypadła do gustu. Nim koła wykonały pełny obrót, wydawały jakby potrójny świst; wówczas kogut mocniej drapał Beniamina. Co rusz piał gniewnie, przy tym z taką siłą, że gdy skończył, to mu jeszcze długo coś w gardle bulgotało. Beniamina bolały kości, był oszołomiony. Prawdę powiedziawszy, miał ku temu powody. Był głodny i przemarznięty. Bał się. Zdawało mu się, że został pojmany do niewoli przez jakiegoś Turka. Oto Turek wiezie go na targ, aby pozbyć się jeńca. Benjamin pomyślał: „Niechby mnie sprzedał przynajmniej jakiemuś Żydowi. Miałbym wówczas jakąś szansę na wyzwolenie. Ale on gotów jest sprzedać mnie jakiemuś księciu. Wtedy koniec. Przepadłbym z kretesem”. Wspomniał historię Józefa i Pu-

tyfara²². Nagle złapał go silny ból, westchnął więc ciężko. Usłyszawszy to, chłop obejrzał się. Przysunął się bliżej i zapytał:

— No, Zydku, *a szczo*²³, troszkę *lipsze*²⁴?

Beniaminowi przejaśniło się w głowie. Przypomniał sobie wszystko. Sytuacja, w jakiej się znalazł, była jednak wielce niezręczna. Ani w ząb nie rozumiał języka, którym posługiwał się chłop. Co robić? Jakiej udzielić odpowiedzi? Jak się z nim dogadać i w jaki sposób wyciągnąć od niego, dokąd jedzie? Beniamin spróbował usiąść, ale na próżno. W kościach łamało go okrutnie.

— Troszkę *tebe lipsze*²⁵? — zapytał go ponownie chłop i dodał: — Sop, hajda, sop!

²²*historia Józefa i Putyfara* — biblijna opowieść o Józefie, synu patriarchy Jakuba, sprzedanym przez zazdrosnych braci w niewolę. Józef zyskał zaufanie swojego pana Putyfara (a. Potifara), egipskiego urzędnika, ale stracił je wskutek intryg pani i został wtrącony do więzienia. Ostatecznie, dzięki umiejętności tłumaczenia proroczych snów, Józef doszedł do znacznych godności na dworze faraona i po latach mógł udzielić wsparcia ojcu i braciom podczas klęski głodu. [przypis edytorski]

²³*szczo* (ukr. *що*) — co. [przypis edytorski]

²⁴*lipsze* (z gw. ukr.) — lepiej. [przypis edytorski]

²⁵*tebe lipsze* (z gw. ukr.) — lepiej ci. [przypis edytorski]

— *Lipsze*. Tylko moje ryby. Oj, oj! — wyjaśnił Beniamin jak mógł najlepiej i wskazał na swoje nogi.

— *Izwidki ty*²⁶, Żydku?

— *Izwidki ty Żydku?! —* powtórzył Beniamin tonem, jakim czyta się *Torę*. — Ja jestem Niomka, Beniomka²⁷ z Tuniejadówki.

— Ty jesteś z Tuniejadówki? *Każy, że szczo ty wytarszczył na meni oczy i glianysz*²⁸ jak szalony? Ale może ty taki i szalony²⁹? *Tresci twoi materi*³⁰? Sop, hajda, sop!

— Ja, jak to? Ja Niomka, *sam ub* Tuniejadówki — odparł Beniamin. Uczynił przy tym błagalną minę i wskazując na siebie ręką błagał o litość. — *Ub* Tuniejadówki, *żinka*³¹ *tebi*³² da

²⁶*izwidki ty* (z gw. ukr.) — skąd jesteś. [przypis edytorski]

²⁷*Niomka, Beniomka* — zdrobnienia od imienia Beniamin, charakterystyczne dla języków wschodniosłowiańskich. [przypis edytorski]

²⁸*Każy, że szczo ty wytarszczył na meni oczy i glianysz* (z gw. ukr.) — mów, czego wytrzeszczasz na mnie oczy i się gapisz. [przypis edytorski]

²⁹*Ale może ty taki i szalony* (z gw. ukr.) — Ale może ty faktycznie jesteś szalony. [przypis edytorski]

³⁰*Tresci twoi materi* (z gw. ukr.) — ukr. przekleństwo. [przypis edytorski]

³¹*żinka* (ukr. *жінка*) — kobieta; żona. [przypis edytorski]

³²*tebi* (z gw. ukr.) — zniekształcone: tobie. [przypis edytorski]

czarkę śliszy i szabaskowe bułkę i dobre *dankujet tebi*³³.

Chłop najwidoczniej pojął prośbę Beniamina.

— *Dobre, Żidku* — odrzekł i obracając się na koźle zawołał: — Sop, hajta, sop!

W dwie godziny później zajechali na rynek w Tuniejadówce. Ludzie otoczyli ich zwartym kołem, zasypali chłopą pytaniami. Ktoś krzychał: — *Czujesz, skilki chcesz za piweń*³⁴, za cebulę? Inny pytał: — *Może majesz kartofle? Może majesz jajcy*³⁵?

Nagle padło pytanie: — *Czujesz, może ty baczył na drogi*³⁶ Żydka? U nas jeden taki *Żydko Biniomka wczera pripał jak ub wody*³⁷.

Zanim chłop zdążył odpowiedzieć, baby rzucały się na wóz. Zdarły koc i wrzasnęły trium-

³³*dankujet tebi* (z gw. ukr.) — zniekształcone: podziękuj ci. [przypis edytorski]

³⁴*Czujesz, skilki chcesz za piweń* (z gw. ukr.) — słuchaj, ile chcesz za koguta. [przypis edytorski]

³⁵*majesz jajcy* (z gw. ukr.) — masz jajka. [przypis edytorski]

³⁶*Czujesz, może ty baczył na drogi Żydka* (z gw. ukr.) — słuchaj, może widziałeś na drodze Żydka. [przypis edytorski]

³⁷*wczera pripał jak ub wody* (z gw. ukr.) — wczoraj przepadł jak w wodzie (jak kamień w wodę). [przypis edytorski]

falnie: — Jest! Mamy go! Tu jest Beniamin! Cypo, Krojne! Bas Szewa-Brajndl, biegnijcie szybko po Zeldę. Przekażcie jej dobrą nowinę. Zguba znalazła się. Koniec z jej wdowieństwem!

Powstał tumult, zbiegowisko. Zawrzało w całej Tuniejadówce. Kto żyw przybiegł, aby na własne oczy ujrzeć Beniamina. Szukano go przez cały dzień i całą noc. Sprawdzono dokładnie okolicę, każdą piędź ziemi. Uznano go już za męczennika, a jego żonę ogłoszono nieszczęsną wdową.

Wśród gwaru pojawiła się jego połówica. Na widok małżonka zaniósła się płaczem. On zaś, blady jak śmierć, leżał tymczasem nieruchomo na wozie. Zelda załamywała ręce. Nie wiedziała, nieszczęsna, co robić. Czy natrzeć mu solidnie uszu, czy też cieszyć się, okazać swoje szczęście, radość, że Bóg jej nie opuścił.

Wzięto Beniamina, tak jak leżał na worku z ziemniakami, i triumfalnie, z wielką pompą poprowadzono przez rynek. Cała Tuniejadówka, od najmłodszych do najstarszych, oka-

zywała mu szacunek. Bez specjalnego zaproszenia odprowadzano go do domu. W zgiełku rozległy się głosy: — Męczennik, męczennik, męczennik! — Od tego czasu przydomek męczennika przylgnął do niego na zawsze. Nie nazywano więc Beniamina inaczej, tylko Beniamin Męczennik. Zeldę zaś zwano Słomianą Wdową.

Jeszcze tego samego dnia zjawił się u Beniamina turniejadowski znawca medycyny i zaczął go leczyć za pomocą wszystkich dostępnych mu środków. Postawił bańki. Przystawił pijawki. Ogolił od stóp do głowy. Na odchodne zaś powiedział, że po zastosowaniu tych wszystkich środków Beniamin przy pomocy bożej wyzdrowieje i nazajutrz rano będzie mógł, jeśli oczywiście da radę, pójść do bożnicy. Tam powinien odmówić modlitwę na intencję ocalenia.

ROZDZIAŁ TRZECI. JAK BENIAMIN ZWIĄZAŁ SIĘ Z SENDER-LEM³⁸ BABA

Pozornie wydawało się, że przygoda Beniamina, która przysporzyła jego żonie tyle zgryzoty i wywołała moc poważnych komentarzy w mieście oraz za piecem bożniczym i na najwyższej ławce w łaźni, powinna była raz na zawsze wybić mu z głowy wszelkie rojenia o wyprawie do dalekich krajów. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, odtąd podróż jeszcze bardziej go zajmowała. Teraz patrzył z większym szacunkiem na siebie samego. Uważał, że jest bardzo doświadczony, bo niemało już w życiu przeszedł. Urósł niepomiernie we własnych oczach, wykazał bowiem niezwykły hart ducha w chwili ciężkiej próby. Zdołał pokonać własną słabość. Uważał się za bohatera, miał się za mędrca biegłego we wszystkich siedmiu dziedzinach wiedzy ludzkiej wymienionych w księdze

³⁸*Senderl* — zdrobnienie od imienia Sender, będącego żydowskim wariantem imienia Aleksander. [przypis edytorski]

Cel Olam. Zajmowały go wszystkie dzieła na ten temat, niczym gąbka nasiąkał ich mądrościami. Zdawało się, że wie już wszystko o tym, co się dzieje na świecie. Z wolna poznawał dogłębnie samego siebie i litował się nad sobą. Oto on, człowiek wielkiego formatu, znalazł się w sytuacji róży wśród cierni. To znaczy on był różą, a dookoła same kolce. I to gdzie? W Tuniejadówce! W takiej dziurze, wśród prostaków, którzy nie mają zielonego pojęcia o życiu. Wyważone słowa i mądre powiedzonka kierowane pod jego adresem przyspieszyły decyzję. Pragnął jak najszybciej opuścić Tuniejadówkę.

Wciąż marzył: „Chciałbym dożyć chwili, aby móc wyruszyć w daleką podróż, a potem powrócić szczęśliwie do domu. Chciałbym nieść Żydom pomoc i pociechę, gdy wrócę w aureoli sławy. Wtedy cała Tuniejadówka przekona się, kim ja, Benjamin, jestem naprawdę. Ile ja, Benjamin, znaczę...”.

Na razie parę drobiazgów powstrzymywało go od wyprawy. Pierwsza przyczyna: skąd zdobyć pieniądze na podróż? Nigdy nie śmierdział

groszem. Całymi dniami, zupełnie bez powodu, przesiadywał w bożnicy. Dom utrzymywała żona. Prowadziła tak zwaną „mokrą apteczkę”, coś w rodzaju kramu lub małego szynku. Zajęła się tym w momencie, gdy dobiegł końca jej bezpłatny wikt u rodziców. Zresztą, pożałuj Boże, co to był za interes! Gdyby nie dorabiała szyciem i darciem pierza podczas długich zimowych nocy lub gdyby nie wytapiała gęsiego smalcu na święta wielkanocne, albo nie zawierała transakcji ze znajomymi chłopami, to doprawdy nie można by było wyżyć. Zastanawiała się często, czy nie sprzedać jakichś rzeczy. Ale co tam w domu było do sprzedania? Parę lichtarzy miedzianych, odziedziczonych po rodzicach. Nad świecznikami odmawiała błogosławieństwo w wigilię sobót i świąt. Czyściła je regularnie, dokładnie. Z tego zajęcia czerpała szczególną radość. Kosztowności, rzecz jasna, nie miała. Na miano biżuterii przecież w żadnej mierze nie zasługiwały srebrny pierścionek i perły osadzone w opasce, którą otrzymała od matki. Chowiała ją głęboko i bar-

dzo rzadko używała. Zakładała ją tylko w święta albo ważne uroczystości rodzinne. A może należało pozbyć się któregoś ze „skarbów” Beniamina? Ale cały majątek Beniamina składał się z jednej jedynej szabasowej³⁹ kapoty z atłasu. Ślubna kapota była natomiast podarta, po prostu rozlatywała się. Żółta podszewka przeświecała w wielu miejscach. Prawda, miał jeszcze tułup⁴⁰, ale pożał się Boże, co to był za tułup! Kołnierz goły, bez pokrycia. Gdy brał ślub, ojciec jego narzeczonej, oby z jego łaski Beniamin miał długi żywot, obiecywał, że nie pożałuje futra. Ale póki co, polecił pokryć tymczasem kołnierz podszewkowym sukniem, zostało mu bowiem trochę materiału po własnej kapocie. Futro winien dostarczyć razem z ostatnią ratą posagową. A ponieważ posagu do końca nie wypłacił, to nic dziwnego, że tułup i kołnierz pozostały w pierwotnym stanie. Po drugie: Beniamin najzwyczajniej nie wie-

³⁹szabasowy — tu: świąteczny. *szabes* — sobota. [przypis tłumacza]

⁴⁰tułup (z ros. *тулуп*: szuba, długie futro) — tu: okrycie zimowe, palto. [przypis edytorski]

dział, jak wyrwać się z domu. Rozwagał. Dum-
mał. Pogadać z żoną i wyłożyć kawę na ławę?
To nie wchodziło w rachubę. Za dużo będzie
wrzasku i zamieszania. Gotowa wylać morze
łez. Uznałaby go wtedy za skończonego wa-
riata. A w ogóle, czy kobieta potrafi zrozu-
mieć takie sprawy? Kobieta, nawet niech to
będzie herod-baba, zawsze jest kobietą. To, co
byle mężczyzna ma w jednym palcu, tego nie
ma i mieć nie może w głowie choćby najlepsza
i najmądrzejsza kobieta. A może wymknąć się
cichcem i zapomnieć o pożegnaniu? Przykra
rzecz. Tak może postąpić tylko litwak. A mo-
że pozostać w domu i wyrzec się podróży? To
niemożliwe! To po prostu samobójstwo.

Żył podróżą. Żyd musi trzy razy dziennie
odmawiać modlitwę, Beniamin zaś musiał bez-
ustannie myśleć o wyprawie. Marzenia o niej
nie opuszczały go nawet we śnie. Miał maja-
ki. Wyprawa zapuściła głęboko korzenie w jego
sercu. Przesłoniła wzrok. Wdarła się do uszu.
Nie zwracał uwagi na otaczającą go rzeczywi-
stość. Widział i słyszał tylko to, co się działo

w odległych krajach. Nieraz bywało, że rozmawiając z kimś wtrącał takie oto słowa: Indie, Sambation⁴¹, antypody, smok, osioł, muł, chleb świętojański, ambrozja, Turek, rozbójnik i wiele podobnych.

Podróż w końcu musiała dojść do skutku. Problem polegał na tym, jak usunąć przeszkody. Był bezradny. Doszedł do wniosku, że powinien z kimś się w tej sprawie naradzić. W Tuniejadówce był odpowiedni człowiek. Nazywał się Sender. Takie właśnie imię otrzymał po swoim pradziadku. Sender, zdrobniale Senderl, nasz wspaniały Sender, był człowiekiem prostym, naiwnym, nie znającym się na żartach. Miał stałe miejsce w bożnicy. Prawda, że znajdowało się ono za bimą⁴². Znak, że do bogaczy nie należał. Do śmietanki, do elity daleko mu było. Miał on zwyczaj przysłuchiwać się

⁴¹*Sambation* — legendarna rzeka w dalekich krainach, za którą ukrywają się zaginione plemiona Izraela. Rzece tej przypisywano magiczną właściwość: miała płynąć tylko przez sześć dni w tygodniu, respektując sobotni odpoczynek. [przypis edytorski]

⁴²*bima* (aszkenaz.) a. *tewa* (sefard.) — mównica pośrodku synagogi, gdzie wykłada się i czyta Torę; podwyższenie zwieńczone ozdobną kopułą lub ażurową altaną. [przypis edytorski]

rozmowom prowadzonym w bożnicy. Słuchał z powagą i w milczeniu, jak to zwykle czyni człowiek postronny. A jeśli czasem wyrwał się słowem, to w odpowiedzi wybuchał ryk śmiechu. Oczywiście nie z tej racji, że w jego mowie zawarta była jakaś nadzwyczajna mądrość lub coś odkrywczego. Po trzykroć nie! Po prostu każde jego słowo wywoływało śmiech. Nikt nie baczył na to, że nieborak wypowiadał się z wrodzoną mu prostodusznością, że wcale nie miał zamiaru kogokolwiek rozśmieszyć. Przeciwnie, gdy śmiano się, wybałuszał ze zdziwienia oczy, starając się zrozumieć przyczynę nagłej radości. Nie miał też jej nikomu za złe, z natury bowiem był łagodnym i dobrym człowiekiem. Przypominał czasami łagodną i potulną krowę. Nawet sobie nie wyobrażał, że można mieć do kogoś o to pretensje. A, że ktoś się śmieje, no to co? Niech się śmieje. Widocznie sprawia mu to przyjemność.

Trzeba jednak przyznać, że w słowach Senderla tkwił czasami głęboko ukryty sens, choć on sam nie zdawał sobie z tego sprawy. W swo-

jej naiwności tylko tak do siebie mawiał. Lubiano stroić sobie z niego żarty. W dziewiątym miesiąca Aw⁴³ dzieci obrzucają się bodziakami⁴⁴ i naturalnie najczęściej bodziaków dostawało się jego pejsom. Sender zawsze i wszędzie był kozłem ofiarnym. W przeciwieństwie do wielu ludzi nie był uparty. Jeśli ktoś powiedział „tak”, Sender uważał to za słuszne. Zgadzał się z każdym nie dlatego, że ustępując komuś w jednej sprawie, chciał, aby oponent ustąpił mu w innej. Nie, on najzupełniej zgadzał się z każdym, spełniał wszelkie życzenia — Co mi to szkodzi? — zwykł był mawiać — Co mi tam? Koniecznie chcesz, żeby tak było, niech będzie tak. — Pośród chłopców Senderl pragnął być chłopcem. Często wpadał do nich na rozmowę, brał udział we wspólnych zabawach. Czerpał z tego sporą satysfakcję. W ich gronie Senderl zachowywał się rzeczywiście niczym ła-

⁴³*Aw* (hebr.) — piąty miesiąc kalendarza żydowskiego, przypadający w lipcu i sierpniu. W dziewiątym dniu miesiąca *Aw* obchodzone jest święto *Tisza b'Aw*, rocznica zburzenia Świątyni jerozolimskiej. [przypis edytorski]

⁴⁴*bodziak* (z ros. *бодяк*) — oset a. ostrożeń; tu: rzepy, tj. suche, kłujące i ciepłe owoce ostu, ostroźnia lub łopianu. [przypis edytorski]

godna krowa, która dopuszcza do siebie dzieci, pozwala się ujeżdżać i drapać po mordzie. Urwisy włożyły mu na głowę i szczypały w brodę. Niektórych to raziło, besztali więc chłopców: — Szacunku, łobuzy! Miejcie poważanie dla starszego! Uszanujcie brodatego człowieka!

— Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi! — odpowiadał na to Senderl. — Co mi to szkodzi? Też zmartwienie! Niech sobie szczypią.

We własnym domu Senderl nie zaznał słodyczy. Tam spodnie nosiła małżonka. Ona sprawowała władzę. Przypadł mu ciężki los, bo żona utrzymywała go w ciągłym strachu. Bywało, że i biła. Nieszczęsny, przyjmował to z pokorą. Gdy zbliżały się święta, kazała mu zwykle malować mieszkanie i własnoręcznie zawiązywała mu brodę chustką. Obierał kartofle, miesił ciasto, kroił makaron, faszerował rybę, nosił polana i palił w piecu. Robił zatem to wszystko, co powinna robić kobieta. Dlatego też przezywano go Senderlem Babą.

Tego Senderla Babę obrał sobie Benjamin za spowiednika. Przed nim miał otworzyć swo-

je serce, jego chciał się radzić. Dlaczego właśnie Senderl? Otóż Beniamin odczuwał zawsze wobec Senderla coś w rodzaju uwielbienia. Z wielu względów Senderl przypadł mu do gustu. W wielu sprawach mieli jednakowe zdanie. Każda z nim rozmowa dostarczała Beniaminowi satysfakcji. Może dlatego, że Senderl nie był uparciuchem. Beniamin był pewny, iż zaakceptuje on jego plan i we wszystkim będzie mu ustępował. A gdyby nawet przyszło Senderlowi do głowy uprzeć się przy kilku punktach, to on, Beniamin, przy bożej pomocy i dzięki swym zdolnościom krasomówczym, da sobie z nim radę.

I pewnego dnia Beniamin wybrał się do Senderla. A gdy zjawił się u niego, zastał go siedzącego na mlecznej ławce. Obierał właśnie ziemniaki. Jeden policzek miał czerwony, jakby płonął ogniem. Pod okiem okazały siniak. Siedział jakiś osowiały i smutny niczym młódka, którą porzucił właśnie mąż.

Żony Senderla nie było w domu.

— Dzień dobry, Senderl! Czemuś taki smutny, mój kochany? — rzekł Beniamin i wskazując palcem na policzek gospodarza dodał: — Aha, znowu ona! A gdzie się podziewa ta twoja dziewczwoja?

— Na targu.

— Doskonale! — omal nie krzyknął Beniamin z wielkiej radości. — Zostaw, duszo moja, kartofle. Wejdźmy lepiej do alkierza. A nie ma tam kogo? Nie potrzebuję policjanta do rozmowy z tobą. Chcę otworzyć przed tobą duszę. Już więcej nie mogę, nie mogę już. Wszystko we mnie gra i kipi. Prędeż, kochany, szybciej. Jeszcze może nadejść ona i wszystko zepsuć.

— A mnie tam co! Chcesz prędko, niech będzie prędko. Też mi zmartwienie! — powiedziawszy to, Senderl poszedł do alkierza.

— Senderl — zaczął Beniamin. — Powiedz mi, czy ty wiesz, co jest po drugiej stronie Tuniejadówki?

— Wiem, tam jest karczma, gdzie czasem można dostać szklanekę dobrej wódki.

— Głupi jesteś. Mam na myśli to, co jest dalej, znacznie dalej.

— Jeszcze dalej od karczmy? — zdziwił się Senderl. — Nie, tego nie wiem. A ty, Beniaminie, wiesz?

— Czy ja wiem? Też mi pytanie. Tam ci dopiero świat! — Beniamin mówił to ze szczególną pasją, przypominał teraz Kolumba z okresu, gdy odkrywał on Amerykę.

— Cóż więc tam jest?

— Tam, tam — zapalił się Beniamin — tam jest smok, tam są potwory!

— Czy to ten potwór, który dla króla Salomona ciął kamienie na budowę Świątyni? — zapytał prostodusznie Senderl.

— Tak, kochanie, tak. Tam, w Ziemi Izraela, w tamtej krainie. A chciałbyś tam być?

— A ty?

— Też pytanie. Oczywiście, że chcę, Senderl. Chcę i wkrótce tam będę.

— Zazdroszczę ci, Beniaminie. Najesz się do syta chleba świętojańskiego i daktyli.

— I ty byś mógł się najeść. Twój udział w Ziemi Izraela jest równy mojemu.

— Udział udziałem, ale jak się tam dostać? Tam przecież Turczyn⁴⁵ włada.

— Na to, Senderl, znajdzie się sposób. Powiedz mi, kochany, czy wiesz coś o Czerwonych Żydach?

— Nasłuchałem się o nich wielu opowieści za piecem, ale żebym wiedział dokładnie, gdzie mieszkają i jak do nich dotrzeć, nie, tego nie wiem. Gdyby było inaczej, nie omieszkałbym cię o tym powiadomić. Czemu nie? Co mi tam!

— A ja, widzisz, wiem — powiedział z dumą Benjamin i mówiąc to wyciągnął z kieszeni książkę *Sziwchej Jeruszolaim*. — Zobacz, co tu napisane. Przeczytam ci: „Gdy tylko przybyłem do Barutu, spotkałem czterech Żydów z Babilonii. Z jednym nawiązałem rozmowę, znał hebrajski i nazywał się Mojżesz. Przekazał mi wiele prawdziwych informacji o rzece

⁴⁵*Tam przecież Turczyn włada* — Jerozolima znajdowała się pod panowaniem Imperium Otomańskiego w latach 1517–1917. [przypis edytorski]

Sambation⁴⁶. Sam to słyszał od Izraelitów, którzy na własne oczy ją widzieli i twierdzili, że mieszkają tam synowie Mojżesza. A dalej tak wyznał: przywódca tamtejszych Żydów opowiadał mi, że jakieś trzydzieści lat temu zatrzymał się u niego pewien osobnik, a był on z plemienia Szymon⁴⁷, który twierdził, że w jego rodzinnej miejscowości przebywają cztery plemiona, spośród których wymienił plemię Isoschor⁴⁸, zajmujące się studiowaniem *Tory*. Z tego też plemienia wywodzi się rządzący tam król”. Poza tym przecież wyraźnie napisane jest w książce *Podróże Beniamina*: „Stamtąd jest około dwudziestu dni drogi do gór Gisbon wznoszących się nad rzeką Guzon. W górach Gisbon mieszkają cztery plemiona: Dan, Zwulon,

⁴⁶*Sambation* — legendarna rzeka w dalekich krainach, za którą ukrywają się zaginione plemiona Izraela. Rzece tej przypisywano magiczną właściwość: miała płynąć tylko przez sześć dni w tygodniu, respektując sobotni odpoczynek. [przypis edytorski]

⁴⁷*plemię Szymon* — według tradycji żydowskiej ród wywodzący się od Symeona, jednego z synów patriarchy Jakuba (Izraela) i jego pierwszej żony Lei. [przypis edytorski]

⁴⁸*plemię Isoschor* — według tradycji żydowskiej ród wywodzący się od Isoschora a. Issochara, jednego z synów patriarchy Jakuba (Izraela) i jego pierwszej żony Lei. [przypis edytorski]

Aszer i Naftali. Ich państwo rozciąga się na obszarach położonych w górach. Z jednej strony otacza je rzeka Guzon. Nie znają te plemiona, co to jarzmo niewoli. Jednego mają króla nad sobą, a na imię mu reb Josef Amarkalo Halewi. I łączy ich przymierze z Kofel el Torrech”. Podano również wiele informacji o rodzie Bnej Rechew oraz o kraju Tejma, gdzie panuje król żydowski; poszczą tam i odprawiają modły z powodu rozproszenia w diasporze synów Izraela. A więc, jak myślisz, kochany, co by też oni uczynili, gdybym ja, Beniamin z Tuniejadówki, nagle się zjawił przed nimi? Co sądzisz o tym, Senderl?

— Ja, powiadam ci, Beniaminie, byłbym po prostu wniebowzięty. To przecież nie byle co, taki gość, taki szanowny gość. Każdy zechce cię gościć, wyrywać sobie będą ciebie. Król Amarkalo chyba też. Zechciej przekazać im ode mnie najserdeczniejsze pozdrowienia. Gdybym mógł, powiadam ci, to bym tam wyruszył wraz z tobą.

— A więc! — wykrzyknął Beniamin, nagle natchniony nowym pomysłem. — Może byśmy razem odbyli tę podróż? Słuchaj, Senderl, wierzaj mi, masz świetną okazję. Właśnie tam wyruszam. Zabieram cię ze sobą. We dwójkę jest różnie. Jeśli, a wszystko się może na tym świecie wydarzyć, zostanę tam królem, to uczynię cię moim zastępcą, wicekrólem. Masz na to moją rękę. Jak długo chcesz tu tkwić i znosić niewolę twojej małżonki? Tej megiery? Popatrz na swój policzek. Marny los przy niej. Zaklinam cię, Senderl, chodź ze mną, nie pożałujesz.

— W takim razie, niech będzie jako rzekłeś, skoro taka twoja wola.

— A ona, co ona na to powie?

— Też ci zmartwienie! Byłbym chyba ostatnim durniem, gdybym jej powiedział, dokąd mam zamiar się wybrać.

— Kochany mój, daj, niech cię uściskam!
— Beniamin wypowiedział to z radością i czule objął ramionami Senderla Babę. — Rozwiązałeś mi problem, bardzo trudny problem.

Teraz powtarzam za tobą: „A co powie ona?”. Mam na myśli moją połowicę. Też mi zmarwienie. Pozostała wszak jeszcze jedna sprawa. Skąd wziąć pieniądze na podróż?

— Pieniądze na podróż? Czy masz zamiar wykosztować się na nowe ubranie, Beniaminie, albo na przenicowanie starej kapoty? Posłuchaj mnie, ja bym ci tego nie doradzał. Przeciwnie, na drogę bardziej nadaje się stare obuwie. Nowe, piękne ubranie dostaniemy chyba na miejscu.

— Racja, zupełnie słusznie. Tam nie będziemy mieli trosk tego rodzaju. Ale na razie, dopóki nie dotrzemy do celu, trzeba trochę pieniędzy na strawę.

— Co znaczy, Beniaminie, na prowiant? Czy masz zamiar wozić ze sobą kuchnię? W jakim celu? Czy to po drodze nie ma szynków, zajazdów?

— Nie rozumiem ciebie, Senderl. Nie wiem, co masz na myśli — odpowiedział zdumiony Beniamin.

— Sądzę — rzekł dobrodusznie Senderl — że skoro są jeszcze na świecie domy, to za jednym zamachem można do nich chodzić po prośbie. A jak postępują inni Żydzi? Jedni chodzą do drugich, po czym tamci chodzą znów do innych. Żydowska to przecież specjalność, pożyczać...

— Przypuszczalnie masz rację! — powiedział uradowany Beniamin. — W takim wypadku mogę powiedzieć, że całkowicie gotów. Wyruszamy jutro o świcie, gdy wszyscy będą jeszcze spać. Nie wolno tracić czasu, to byłby grzech.

— Chcesz jutro, niech będzie jutro. Też mi zmartwienie.

— Jutro rano, skoro świt, Senderl, wymknę się po cichu z domu. Będę na ciebie czekał koło starego wiatraka. Nie zapomnij, Senderl, jutro o świcie. Pamiętaj! — powtórzył Beniamin i zamierzał odejść.

— Zaczekaj chwileczkę, Beniaminie — zatrzymał go Senderl. Poszperał w wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył woreczek z wy-

tartej skóry, opasany sznurkiem i zawiązany na dwadzieścia chyba supełków. — Zawartość tego skórzanego woreczka zdołałem uzbierać w ciągu całego mojego żywota pod panowaniem żony. Zacząłem zbierać od dnia ślubu. Czy to się przyda na początek?

— Zasłużyłeś, kochany, na tysiące pocałunków — powiedział Beniamin i serdecznie uścisnął Senderla.

— A żeby cię szlag trafił! Popatrzcie tylko, proszę was, na tę wielką miłość! Jak to się ścisną, jak się obejmują! A na środku izby stoi koza i obzera się kartoflami. Żeby cię robaki zjadły! — niespodziewanie usłyszeli krzyk.

Pochodził on od małżonki Senderla. Wydawała się cała jakby w płomieniach. Jedną ręką wskazywała na kozę, drugą przywoływała Senderla. Senderl ociągając się ruszył w kierunku izby. Podobny był do dziecka, które coś przekrobało, a teraz oczekuje zasłużonej kary.

— Trzymaj się, Senderl. To już ostatni raz, pamiętaj, jutro skoro świt — tak mu szeptał do ucha Beniamin i jak kot wymknął się z izby.

ROZDZIAŁ CZWARTY. O TYM, JAK BENIAMIN I SENDERL OPUŚCILI TUNIEJADÓWKĘ

Nazajutrz o świcie, zanim jeszcze pastuch zdążył pogonić krowy na pastwisko, nasz Beniamin z paczką pod pachą czekał już koło wiatranka, gotów do drogi. W paczce miał wszystkie niezbędne w podróży rzeczy: tałas i tefilin, modlitewnik, dzieła *Derech Hachaim* i *Chok Leisrael*, *Psałterz* oraz pozostałe książki, bez których nie mógł się obejść, podobnie jak rzemieślnik nie może się obejść bez swoich narzędzi pracy. Zabrał także szabasową kapotę; trzeba przecież jakoś wyglądać przed ludźmi. W kieszeni miał piętnaście i pół groszy, wydobyl tę sumę spod poduszki swojej połowicy, tuż przed opuszczeniem domu. Był więc, dzięki Bogu, zaopatrzony we wszystko, co potrzeba. Mógł wyruszyć w drogę.

Tymczasem wzeszło słońce i obróciwszy się twarzą ku ziemi rzucało ku niej promienne spoj-

rzenia. A każde spojrzenie dodawało człowiekowi sił i radowało wszelkie stworzenie.

Pokryte jeszcze kroplami nocnej rosy uśmiechały się drzewa i trawa. Zupełnie jak małe dzieci, które nagle na widok błyszczącej zabawki wybuchają śmiechem, mimo że w oczach ich perlą się jeszcze wielkie niczym ziarna grochu łzy. Drobne ptaszki fruwały wokół Beniamina, śpiewały i igrały, jakby chciały przez to powiedzieć: „Śpiewajmy i wiwatujmy na radość i pociechę tego wspaniałego jegomościa, który właśnie stoi przy wiatraku. To przecież Beniamin, Beniamin we własnej osobie. Beniamin z Tuniejadówki, współczesny Aleksander Macedoński, który właśnie opuszcza swoją ojczyznę, porzuca żonę i dzieci i udaje się z misją, hen daleko, tam, gdzie go oczy poniosą. Oto stoi Beniamin Wielki, ten, co niczym słońce wyszedł ze swojego namiotu i pełen radości, jak prawdziwy bohater pospiesznie rusza w drogę z paczką pod pachą. Jest silny jak lampart, jest lekki jak orzeł. Jest gotów speł-

nić każde żądanie Ojca w niebiosach. Śpiewajcie mu więc. Radujcie jego serce!”

I rzeczywiście, radość zagościła w sercu Beniamina. Powtarzał sobie w duchu: „Jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem. Czego mi jeszcze, na psa urok, brakuje? Czy mam jakieś kłopoty? Żonę, dzięki Bogu, oby imię Jego było błogosławione, zaopatrzyłem. Jako takie utrzymanie ma zapewnione. Sam zaś jestem wolnym ptakiem. Cały świat stoi przede mną otworem. Przy takich umiejętnościach, zapale, wybitnej orientacji we wszystkich siedmiu dziedzinach wiedzy ludzkiej, taki Żyd jak ja nie zginie. Do tego jestem jeszcze Żydem pełnym ufności. A odkładając na bok wszystkie pozostałe zalety, Żydzi dzięki samej tylko ufności przetrwali wieki i Bóg ich nigdy nie opuścił”.

Było mu lekko i błogo na sercu. Był w tak wspaniałym nastroju, że wargi same układały się do śpiewu. Miłym głosem intonował hymn na cześć Najwyższego Władcy. Jego śpiew prze-

platał się z kwileniem ptaków, brzęczeniem much oraz cykaniem świerszczy i jedna potężna melodia wzbiła się ku niebiosom, aż dotarła do tronu Najwyższego, osiągając siódme niebo.

Tymczasem upłynęło sporo czasu, a Senderl wciąż nie nadchodził. Beniamin zaniepokoił się; cała radość przepadła. Wyteęzał wzrok. Od rozglądania się na wszystkie strony oczy nieomal wyszły mu z orbit. Ale daremny trud, Senderla ni widu, ni słyhu. Jak go nie było, tak nie ma. A może ta megiera zaprzęła go do roboty? Lecz pora to niezbyt stosowna. W tej chwili cała Tuniejadówka jeszcze słodko śpi. Ziemniaki obiera się znacznie później. Obiad gotują kobiety dopiero po kłótni z mężem. Przedtem dzieci muszą otrzymać należną im porcję batów. Trzeba najpierw rozwiesić pościel na sznurach. Beniamin nie wiedział, co począć. Nie było mu wesoło na duszy. Raczej smutno. A może wrócić do domu? O, to byłoby nieładnie. Aleksander Macedoński zniszczył most, po którym przeprawił się do Indii, aby nie zawrócić. Wyruszyć bez Senderla? Nie-

dobrze. Bardzo niedobrze. Senderl był mu teraz nader potrzebny. Odkąd się z nim związał, świat jakby pojaśniał. Wyprawa bez Senderla wydawała mu się przedsięwzięciem wprost szalonym. Przypominała okręt bez steru, państwo bez ministrów.

Nagle w oddali ukazało się coś, co nieco przypominało człowieka. Senderl! A jednak Senderl! Jakby kobieta w perkalowej kiece, z chustką na głowie. Serce Beniamina mocno zabiło. Zbladł jak ściana. Przypominał śmierć. Miał wrażenie, że oto nadchodzi jego żona. Raczej nadbiega, nadlatuje. Pędzi! Już go dopada. Rzuca się na niego z wściekłością. Wnet wyładuje na nim całą złość i głośno łkając zaciągnie go do domu.

— Jeden Bóg tylko wie — opowiada Beniamin — jak wtedy cierpiałem, jakie męki przeżywałem. Wolałbym spotkać setkę smoków anizeli własną żonę. Smok bowiem gryzie tylko ciało, kobieta zaś, gdy wpada w gniew, kąsa duszę. Bóg jednak, oby imię Jego było błogosławione, dodał mi sił i w porę zdąży-

łem umknąć. Ukryłem się za wiatrakiem, zacząłem, jak lew czyhający na łup.

Niebawem wszakże Beniamin jednym sussem wyskoczył z kryjówki i ryknął jak opętany: — Senderl! Senderl! — Senderl, odziany w perkalową kieckę, zbliżał się powoli. Twarz miał obwiązaną brudną, zatłuszczoną chustką. Pod oczyma dwa siniaki, ślady zadrapań. W ręku dzierżył kij, na plecach niósł okazały tłumok⁴⁹.

W oczach Beniamina był on wtedy uosobieniem wdzięku i czaru. Wyglądał jak piękna, wystrojona panna młoda oczekująca oblubieńca. Tak Beniamin opisuje swoją radość:

Jak łania poszukująca źródła, jak spragniony wędrowiec na pustyni, który nagle odkrywa oazę, tak ja rzuciłem się ku Senderlowi, ku temu, którego sam Pan Bóg przeznaczył mi na towarzysza i wiernego pomocnika.

— Cóż się stało, Senderl? Dlaczego kazałeś na siebie tak długo czekać?

⁴⁹tłumok — dziś: tłumok, tj. zawiniątko, paczka. [przypis edytorski]

— Po prostu. Najpierw przecież musiałem udać się do ciebie do domu. Zanim tam doszedłem, dopóki obudziłem twoją Zeldę, sporo czasu upłynęło.

— Obudziłeś Zeldę? — straszliwym, zupełnie jakby nie swoim głosem wrzasnął Beniamin. — Senderl, wariacie jeden, po coś to zrobił?

— Co znaczy „po co”? — odparł zdziwiony Senderl. — Po co? Zapukałem do twojej spiżarni, a gdyś się nie odezwał, zastukałem do drzwi twego mieszkania. Stukam, pukam, znowu stukam. Wtedy Zelda pólżywa ze strachu zerwała się z łoża i ja ją wtedy zapytałem o ciebie.

— Senderl, przepadliśmy! Narobiłeś bigosu. Zelda teraz pobiegnie za nami, zobaczysz!

— Nie bój się, Beniaminie. Ona mnie posłała do wszystkich diabłów i była przy tym tak wściekła, jakbym jej zniszczył kapotę. „Idź — powiedziała — i razem z moim⁵⁰ przepadnij! Niech was obu ziemia pochłonie”. Przez

⁵⁰mój — tu: mój mąż. [przypis edytorski]

dłuższą jeszcze chwilę stałem pod drzwiami jak oniemiały. Dopiero potem przypomniałem sobie o wiatraku i zrozumiałem, że ty chyba już tam jesteś. Nic dziwnego, że żona twoja powiedziała: „Idź i niech was obu ziemia pochłonie!”. Z tego wynika, że musiała chyba zauważyć, jak wychodziłeś.

— Co powiadasz, Senderl? Zauważyła? Może już idzie, może już tu jest?

— Uchowaj Bóg, Beniaminie! Zamknęła drzwi na łańcuch. Zanim odszedłem, jeszcze raz zapukałem i zapytałem: „Zeldo, a może chcesz przekazać coś swojemu mężowi? Było nie było, może dasz mu coś na drogę, Zeldo?”. Nie odezwała się słowem. Pomyślałem, że ma chyba twarde sen i bez uroku, chrapie sobie słodko. Więc ja znowu: „Zeldo, jeżeli już śpisz, to śpij sobie na zdrowie! Bądź zdrowa, Zeldo!” — powiedziałem i poszedłem sobie.

Słowa Senderla podziałały na Beniamina niczym balsam. Oddychał teraz lżej. Spadł mu kamień z serca. Rozpogodziła się jego twarz, a w oczach pojawiły się błyski radości.

— A teraz, Senderl — rzekł uradowany Beniamin — teraz w drogę! Prawą nogą.

Wówczas z bajora dobiegło kumkanie żab. Wyglądało na to, że swoim rechotem chcą one pożegnać naszych bohaterów, zachęcić do marszu. A żaby w Tuniejadówce wydają z zatęchłych bagien potworne głosy. Słyną z tego na całym świecie. Podobnie sławne są miejscowe pluskwy i karaluchy.

ROZDZIAŁ PIĄTY. O TYM, CO SIĘ PRZYTRAFIŁO NASZYM BOHATEROM ZARAZ PO WYMARSZU

Nasi bohaterowie wyruszyli bez zwłoki. Marszerowali tak ochoczo, iż zdawało się, że zerwali się z łańcucha albo że ktoś pogania ich batem. Szerokie poły płaszczy rozwiewał wiatr niby żagle spiesznie przemierzającego ocean statku. Gotów jestem przysiąc, że niejeden woźnica dyliżansu z naszej okolicy najgoręcej by sobie życzył, aby jego konie poruszały się w tempie naszych podróżników. Spacerujące opodal

wrony i sroki z szacunkiem ustępowały im drogi, a następnie kracząc rozlatywały się na cztery strony świata. Przerazały je owe dwunożne stworzenia, które z takim zapalem parły naprzód.

Żadne pióro nie jest w stanie opisać, jak bardzo czuli się wówczas szczęśliwi, arcyszczęśliwi. Ogarnęła ich niewysłowiona radość. Zadowoleni cieszyli się widokiem nieba i świata.

Senderl widać był rad, że udało mu się wyrwać od żony; wreszcie pozbył się okrutnego jarzma. Miniony dzień był dla nieboraka szczególnie ciężki. Dzień pełen zmartwień i cierpień. Pozostawił po sobie pamiątkę w postaci siniaków na całym ciele. Z brody Senderla ubyło wiele włosów. Pod oczami pojawiły się granatowe plamy. Mężowie-pantoflarze! Nikomu z was nie życzę tak przykrej nauczki, jaką otrzymał wczoraj od swojej połowicy nasz nieszczęsny Senderl.

W milczeniu, nie odzywając się do siebie, co tchu w piersiach, nasi bohaterowie pędzili naprzód. Marsz rozgrzał ich. Duże krople potu

spływały im z twarzy. Senderl raz po raz przystawał. Sapał niczym gęś.

— Prędzej, szybciej, Senderl! — Benjamin dodawał towarzyszowi animuszu, sam zaś wysuwał się do przodu. Był jak mocarz, który zebrawszy wszystkie siły rzuca się bez wahania w wir walki.

— Oj, rety! Miej litość nade mną, Beniaminie — błagał Senderl. — Nie mam już sił biegać za tobą. Ty, bez uroku, pędzisz jak kozica w górach, niby cap przed stadem.

— Szybciej, prędzej, Senderl! — powtórzył Benjamin i parł, parł naprzód. — Widzisz, Senderl, mógłbym tak pędzić i pędzić aż na kraj świata.

— Ale po co, Beniaminie, tak gnasz? Zapewniam cię, że zdążymy na czas. A jeśli nawet spóźnimy się o dzień lub dwa to też, wierzaj mi, nie będzie nieszczęścia. Świat przez ten czas nie zginie. Wedle tego, co słyszałem, świat powinien przetrwać do siódmego tysiąclecia, to znaczy, że pozostało mu jeszcze kilkaset lat.

— Prędzaj, Senderl, szybciej! Szkoda czasu! Im śpieszniej wyrwiemy się stąd, tym lepiej. Ruszaj się, Senderl! Wyteż siły. Gdy do-
trzymamy na miejsce, będziemy mogli rozprostowa-
wać kości. Wtedy poodychasz pełną piersią.
Będiesz wówczas niczym wielki pan.

— Masz rację, też mi zmartwienie. Niech
będzie prędzaj. Mnie przekonałeś. Jak jednak
przekonać moje nogi?

Nie było wyjścia, Beniamin musiał ustąpić
Senderłowi i zwolnić tempo marszu.

Gdy słońce wychyliło się z za horyzontu i po-
częło mocno grzać, a nawet przypiekać, nasi
podróżni, chroniąc się przed żarem, ukryli się
w zagajniku na skraju drogi. Rzęsisty pot po-
krył ich czoła. Z trudem chwyтали oddech. Bo-
lały ich wszystkie kości. Świeże obrażenia na
ciele Senderła spuchły i przyprawiały go o strasz-
liwy ból. Miał wrażenie, że ktoś kłuje go szpil-
kami.

Kiedy nieco odsapnęli, uznali za stosow-
ne wydobyć tałas i tefilin i przede wszystkim
odmówić modlitwę. Beniamin modlił się co-

raz żarliwiej, kołysał się i pogrążał w ekstazie. Uczciwie zasłużył na dobry kieliszek wódki. Ale jak tego dokonać? Byłby zadowolony nawet z kawałka chleba. Konał z głodu. Po takim marszu miał ogromny apetyt. Konia z kopytami mógłby zjeść, a tu, jak na urągowisko, nie było nawet okruszynki. Spojrzał w prawo, spojrział w lewo, strzelił palcami, ziewnął, podrapał się, przełknął ślinę, pogłaskał się po głowie, pociągnął za pejsy i brodę. Jeszcze raz się podrapał, ponownie pogłaskał, aż coś mu zaświtało w głowie. Wydobył z paczki niewielką książeczkę o rozmiarach czterokrotnie mniejszych od normalnych. Był to modlitewnik. Otworzył go i niebawem zaczął coś mrużyć z przyśpiewem, jaki towarzyszy czytaniu adkosmos w święto Szawuot⁵¹.

— Senderl — Beniamin przerwał w połowie zdania. — Czy wiesz, co czytam? Czy wiesz, dlaczego czytam z takim przyśpiewem?

⁵¹ *Szawuot* a. *Szwues* — święto objawienia *Tory* na górze Synaj, zarazem święto pierwszych zbiorów. [przypis tłumacza]

— Zapewne jesteś głodny — odparł prostodusznie Senderl.

— Akurat — mruknął Beniamin. — To co, żem głodny?

— Dlatego śpiewasz — rzekł Senderl. — Powiadają przecież: *Koły Żyd śpiwaje, koły wyn hołodny*.⁵² Ty, Beniaminie, możesz sobie śpiewać. Śpiewaj, ile chcesz. A ja tymczasem zajmę się czymś innym.

Mówiąc to Senderl wsunął rękę do swojej paczki i wyciągnął z niej torbę.

— Nic nie wiesz i nic nie rozumiesz — rzekł na to Beniamin. — Głupiec z ciebie. Zaraz ci wszystko wyłożę.

Senderl tymczasem robił swoje. Z wolna otwierał torbę. Gdy Beniamin zajrzał do niej, natychmiast wszystko się w nim odmieniło. W torbie były prawdziwe skarby: chleb, kawałki chały pozostałe po sobocie, ogórki, rzodkiewka, cebula i czosnek. „Zapobiegliwa gospodyni, która pamięta o wszystkim” — po-

⁵²*Koły Żyd śpiwaje, koły wyn hołodny* (z gw. ukr.) — kiedy Żyd śpiewa, to znaczy, że jest głodny. [przypis edytorski]

myślał Beniamin o Senderlu. Przyjaciel bardziej urósł w jego oczach. Jakże się cieszył, że Pan Bóg obdarzył go tak wartościowym towarzyszem podróży. Tylko Stwórca mógł mu zesłać Senderla, tak jak w swoim czasie zesłał synom Izraela mannę na pustyni. Pokrzepili się, a potem Senderl zawinął resztki jedzenia w papier i schował z powrotem do torby.

— Przydadzą się na jeszcze jeden posiłek. Natomiast torba starczy jeszcze na tysiąc lat, na całe nasze życie. Z nią, jeśli Bóg będzie łaskaw, będziemy chodzić po domach. Nic się nie martw, Bóg nas nie opuści. Nasza kochana sakwa jest niby ten cudowny obrus z bajek. Wystarczy powiedzieć: „Obrusiku, obrusiku, daj nam jeść, daj mi to, daj mi tamto”, a obrusik natychmiast spełnia życzenia. Wielu, bardzo wielu ludzi dzięki torbie utrzymuje się przy życiu w cudownie łatwy sposób. Przekazują ją nawet w spadku dzieciom i wnukom. W istocie swojej każda torba jest taka sama. Jest tylko torbą. Ale w zależności od miejsca, w którym się znajduje, przybiera różne kształ-

ty, różne nazwy. U prostych biedaków jest zwyczajną płócienna torbą. Wśród wyższych sfer przybiera jednak najbardziej rozmaite kształty. To formę pudełka, to koszyczka, puszki, skarbonki na cele religijne, sakiewki na cele społeczne, kasy pożyczkowej, a nawet pończochy gromadzącej honoraria na spotkania literackie. A wszystkie wyżej wymienione kształty są niczym innym, jak tylko odmianami tej torby. Żydowskiej torby.

— Senderl — odezwał się Beniamin mocno pokrzepiony jego słowami — my obaj stanowimy parę przez samo niebo skojarzoną. Stanowimy jedność, jak ciało i dusza. Gdy ty troszczysz się o sprawy materialne, o jedzenie i picie, ja dbam o sprawy duchowe. Ponawiam pytanie: czy wiesz, dlaczego odmawiam z przyśpiewem hymny? Mam ku temu poważny powód. Troszczę się o to, abym w momencie, gdy Bóg, niech imię Jego będzie błogosławione, pozwoli mi dotrzeć do synów Mojżesza, mógł się z nimi rozmówić i nie zapomnieć języka w gębie. Język, którym się posługują, to aramejski. W ara-

mejszczyźnie zostały napisane te hymny. Moim zdaniem ułożył je Eldod Hadani, który przybył do nas z ich kraju. A więc uważaj, Senderl. Zaczynam mówić ich językiem. Tu, za granicą, wystarczy nam nasz język⁵³ rodem z Niemiec, ale tam z całą pewnością nie znają tej mowy.

— Polegam całkowicie na tobie — powiedział pokornie Senderl. — Ty jesteś uczony, zagładasz sobie do tych swoich księzek i chyba wiesz, co robisz. Wiesz, dokąd zmierzasz. Najlepszy dowód, że nie zapytałem nawet, czy idziemy właściwą drogą. Ty prowadzisz, a ja się nie przejmuję. Prowadź, a ja pójdę za tobą, jak cielę za krową.

Zaufanie, jakie Senderl okazał Beniaminowi, sprawiło mu wielką satysfakcję. Ujrzał siebie w roli kapitana statku, który pewną ręką prowadzi okręt po morzu. Mimo to jednak spróbował określić miejsce, w którym się obecnie znajdował. Nie jest wykluczone, że zbłądził, że zboczył z drogi, że ją zgubił.

⁵³nasz język rodem z Niemiec — tj. jidysz. [przypis edytorski]

Gdy tak rozważał, nadjechał chłop na wozie załadowanym po brzegi sianem.

— Senderl — powiedział Benjamin — nie zaszkodziłoby zapytać chłopą o drogę. Chodzi o zwykłą ciekawość. Tu, za granicą, ty lepiej i prędzej się dogadasz w tym ich nieokrzesanym języku. Ciebie częściej zabierała żonka na targ.

Senderl podniósł się ze swego miejsca i z wielkim szacunkiem podszedł do chłopą.

— *Dobry dzień! Kazi no, czetowicze, kudy⁵⁴ droga na Erec Isruel⁵⁵?*

— *Szczo⁵⁶?* — chłop ze zdumienia wytrzeszczył oczy. — *Jaki Srul⁵⁷? Ne baczył⁵⁸ ja Srula!*

— Nie, nie! — wtrącił się Benjamin. — *Eto ni Srul, a win, nie przymierzając, Erec Israel kazaty win!* Senderl, wyjaśnij mu dokładniej. Ma chłopską łepetynę. Jaśniej wyłóż.

⁵⁴*Kazi no, czetowicze, kudy droga na Erec Isruel* — powiedz no, człowieku, którądy droga do Ziemi Izraela. [przypis edytorski]

⁵⁵*Erec Israel (Erec Isroel)* — Ziemia Izraela. [przypis tłumacza]

⁵⁶*szczo* (ukr. *що*) — co. [przypis edytorski]

⁵⁷*Srul* — zdrobnienie żydowskiego imienia Israel. [przypis edytorski]

⁵⁸*ne baczył ja* (z gw. ukr.) — nie widziałem. [przypis edytorski]

— *Na Erec Isruel, kudy drogi?* — powtórzył Senderl.

— *A pies was, Żydku, znajet, szczo wy moroczyty mene gołowu. Eto doroga na Pijawki, a win wsio Etes stual, Etes stual*⁵⁹ — przedrzeźniał ich chłop i splunąwszy odjechał.

Nasi bohaterowie ruszyli w dalszą drogę.

Beniamin odczuwał ból w nogach. Miał wrażenie, że zagotowała się w nich krew. Chwilami nawet sądził, że stracił nogi. Próbował nie zwracać na to uwagi i jak mógł dodawał sobie ducha. A ponieważ trudno mu było kroczyć prosto i szybko, oby żaden Żyd nie zaznał podobnego położenia, począł raz po raz podskakiwać. Oczywiście nie był to już dziarski marsz z początku wyprawy. Mimo to Beniamin uparczywie szedł dalej. A co innego mógł uczynić? Miał się położyć na drodze? I co by z tego przyszło? No i czy wypada, aby Żyd tak sobie nagle ułożył się na środku drogi? Sprawiłby tym za-

⁵⁹*A pies was, Żydku, znajet, szczo wy moroczyty mene gołowu. Eto doroga na Pijawki, a win wsio Etes stual, Etes stual* (z gw. ukr.) — może pies wie, czego mi zawracasz głowę, Żydku. To droga na Pijawkę, a ten ciągle „Etes stual, Etes stual”. [przypis edytorski]

wód towarzyszowi. Nie daj Bóg przerwać wyprawę. Wypadało iść zatem dalej. Maszerowali więc tak cały dzień, dopóki nie trafili na nocleg do Pijawki.

Gdy tylko Beniamin dotarł do miejscowej karczmy przede wszystkim zaszył się w kącie izby, aby odsapnąć i rozprostować zbolące nogi. Senderl, jak przystało na zapobiegliwego gospodarza, rozglądał się za kolacją.

Arendarz wnikliwym okiem zmierzył Senderla i doszedł do wniosku, że z ubioru i wyglądu jest to ktoś niezwykajny, niepodobny wręcz do pozostałych podróżnych. Serdecznie go przywitał, a na pytanie, jak się nazywa i skąd przybył, otrzymał od Senderla odpowiedź nader prostą: nazywa się Senderl, jest w pewnej mierze Żydem z Erec Israel. Pełni służbę u reb Beniamina, który właśnie raczył w całym swoim majestacie spocząć tam w kącie. Arendarz przybrał bogobojne oblicze, nieco się zamyślił i poprosił Senderla, by zechciał usiąść.

Zostawmy tymczasem naszą księżniczkę, czyli Senderla, na rozmowie z arendarzem, a sami

powróćmy do księcia, to jest do Beniamina. Zobaczmy, czym się zajmuje.

Od momentu, gdy położył się, leżał jak kamień. Nie zdawał sobie sprawy, na jakim świecie przebywa. Nogi miał obrzmiałe. Krew w nich nieustannie bulgotała. Coś kłuło i szczypało, jakby tysiące mrówek poruszało się po ciele i gryzło. Łomotało mu w skroniach, miał wrażenie, że ktoś wali w nie młotkiem. W uszach szumiało, słyszał dźwięki przypominające melodię z baraniego rogu, w który dmie się podczas święta Rosz Haszana⁶⁰. Chwilami huk w skroniach przypominał wybuchy rac. Po każdej wylatującej z głowy racy błyskało mu przed oczyma tysiące różnokolorowych iskier. Żółtych, zielonych, niebieskich, czerwonych i pąsowych. Gdy fajerwerki zgasły, ciemniało mu w oczach i znów słyszał dokuczliwy szum.

Niespodziewanie dobiegł go daleki dźwięk dzwonków. Z każdą chwilą zbliżał się, był wyraźniejszy, silniejszy. I nagle zamilkł. Rozległo

⁶⁰*Rosz Haszana* a. *Rosz Haszane* — Nowy Rok obchodzony zwykle we wrześniu. [przypis tłumacza]

się skrzywienie wozu, po chwili fura zatrzymała się przed bramą karczmy. Wydaje się, że całe miasteczko zebrało się tu na jakiś ważny wiec. Słysząc różne głosy: skrzeczące, chrapliwe, zawodzące, płaczliwe i przyjemne. Nie wiadomo, o co chodzi. Gdy koty, we właściwym dla siebie czasie, gromadzą się na dachu, to jasne, w czym rzecz. Po to są koty. Wiemy, co kryje ich miauczenie, aczkolwiek nie znamy ich kociego języka. W tej natomiast sprawie trudno coś pewnego powiedzieć. Czemu krzyczą, czego chcą? Śmiech splata się z jękiem, szept z westchnieniem, pisk z basem łobuza, wazeliniarskie deklaracje z chrapliwym skrzeczeniem. Ktoś pociąga nosem, ktoś stuka lub klaszcze. I bądź tu mądry, zrozum, co to wszystko ma znaczyć.

Nagle otworzyły się drzwi i do izby wpadła z impetem gromada ludzi. Benjamin zaszywa się głębiej w kącie. Tymczasem w izbie przejaśnia się. Zapalono świece w lichtarzach szabasowych. Niektóre świeczniki są zalane woskiem i świece ledwie się w nich trzymają. Gdzie-

niegdzie świece topią się. Czasem otwory lichterzy są zbyt luźne i świece się pochylają. Trzeba je podeprzeć.

Za długim dębowym stołem siedzi grupa muzykantów strojących instrumenty. Skrzypek przebiega palcami po strunach. Łaskocze struny, a każda z nich odpowiada słodkim, miłym dźwiękiem. Jakby chciała rzec: „Nie szkodzi, możesz mnie łaskotać. Jeśli chodzi o mnie, to jestem gotowa. Oby tylko nie nawalił smyczek”. Muzykant chwytą smyczek, gładzi go, obraca w dłoni. Instrument jest gotów do gry. Flecista przemawia łagodnie do fletu; odpowiada mu cicha melodia. Cymbalista zręcznie przesuwając palcami po cymbałach. Młoteczki wystukują powoli właściwą tonację. Tylko ślepy bębniasta w głębokiej, aż na oczy zsuniętej czapce futrzanej, ukradkiem drzemie.

Tuż przy muzykantach stoi ławka. Wspiął się na nią jakiś człowiek. Coś mówi. Ledwie pada słowo, a wszyscy w śmiech. Nawet dzieci, które tłoczą się za oknami, zaglądając przez szyby, śmieją się do rozpuku i stroją dziwne

miny. Nagle mężczyzna na ławce krzyczy: „Hurra”. To wiwat na cześć gospodarza i jego gości. Poleca zagrać coś żywego, wesołego. I muzykanci biorą się do dzieła. Kobiety i mężczyźni puszczają się w tan. Taniec zwie się szer.

Wszystko w ruchu. Nawet pluskwy i karaluchy wylazły ze swoich kryjówek i biegają po ścianach. Naraz jeden z tancerzy wpadł na spoczywającego w kącie Beniamina. Przyjrzał się jego twarzy i nagle w krzyk:

— Toć to Beniamin. Ale mam szczęście, ałem go zmacał! Przysięgam, że złapałem wielką wygraną. Jest! Jest!

Na ten krzyk przybiegło wielu ludzi. Beniamin rozpoznał wśród nich notabli z Tuniejadówki. Był też i rabin.

Krzyczano zewsząd:

— Beniamin do tańca! Pójdź z nami w tany, Beniaminie!

— Nie mogę w żadnym wypadku — Beniamin błaga o litość, prosi. — Nie mogę się ruszyć.

— Nie szkodzi, nie szkodzi — słyszy w odpowiedzi. — Chodź — powiadają — spróbuj. Co w tym zresztą trudnego? Niedźwiedź umie tańczyć, a cóż dopiero człowiek. Dalej, zwawo! Ale będziemy mieli co opowiadać!

— Tylko nie Zeldzie — prawie bez tchu wykrzykuje Beniamin — błagam was, tylko nie Zeldzie!

— Ruszaj się, ty krowo — krzyczą mu w odpowiedzi. — Ruszaj się, stawaj na nogi!

— Zlitujcie się nade mną, dzieci Izraela! Nie mogę! Nie mogę, przyjaciele, nie mogę się ruszyć! Mam ważny powód. Wyjawię go tylko rabinowi.

I gdy objął w mocnym uścisku rabina, aby mu szepnąć do ucha swój sekret, czuje uderzenie w bok. Cios był tak silny, że zakręciło mu się w nosie jak od chrzanu. Pod wpływem bólu podskakuje. Przeciera oczy i cóż widzi? W izbie mrok, przez okno sączy się blask księżyca. Samotnie leży obok cielęcia i trzyma je w objęciach.

Co tu się dzieje? Skąd nagle to cielę? Czyżby Benjamin się ocielił? Dobrze, ale w jaki sposób? Załóżmy, że jest rzeczywiście krową. Po stokroć krową. Tak czy owak jest jednak krową dwunożną, a czy ktoś słyszał lub widział, aby dwunożna krowa urodziła cielę?

Prawda, że jest u nas sporo cieląt, a większość z nich pochodzi nawet z bogatych, szacownych domów, ale mimo wszystko to przecież tylko cielęta w ludzkiej postaci. Większość z nich wyróżnia się nawet ładną prezencją. Są nawet takie, które mają ładne twarzyczki, a na nich piękne, pełne czaru dołeczki. Lecz cielę, które Benjamin właśnie obejmował, to przecież, co tu gadać, autentyczne. Nic innego, tylko cud. Prawdziwy cud. Po prostu — z nieba spadło. Ależ nie, szanowni moi Państwo. Nie wiercie w niebiańskie cielęta. Wśród wszystkich naszych cieląt nie ma ani jednego, które by zesłano z nieba. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Nie warto zatem wydziwiać na temat cielęcia i nie należy przydawać mu takiego znaczenia. Po prostu i bez upiększenia

rzecz wyglądała tak: gdy śmiertelnie zmęczony Beniamin rzucił się w ką, nie zauważył, że zaszyło się tam ciele. Zasnął w męce. I wtedy ujrzał we śnie wesele z muzykantami. Zaniepokojony wsuwał się coraz głębiej i głębiej w ką. A kiedy we śnie obejmował rabina Tuniejadówki, w rzeczywistości ścisnął ciele arendarza z Pijawki. To zwierzęciu szeptał do ucha sekret swojej podróży. Ciele jednak nie znało się na czułościach. Nie pragnęło, aby je ktoś przyciskał i dusił. Wyprostowało więc kopyta i poczęstowało Beniamina w bok. Wtedy się obudził. Po przebudzeniu nadal trzymał ciele. Był oszołomiony, na pół przytomny. Dopiero po chwili odepchnął stworzenie. Przerażony zerwał się na nogi i uciekł. Ciele zaś, gdy tylko uwolniło się z objęć Beniamina, również podrywało się do ucieczki. W popłochu wpadło na ceber pełen wody. Trach, ceber się przewrócił, a woda rozlała. Łoskot zaniepokoił Senderla i arendarza. Przyświecając świecą wpadli do izby. Tu stanęli, jak wryci. Gdyby ich ujrzał

jakiś wierszokleta, niechybnie ułożyłby mniej więcej taki oto wierszyk:

Serdeczni dla siebie i mili,
Czy to w kącie, czy w kałuży
Nigdy się nie rozstawali.

Arendarz i Senderl byli jednak zwykłymi zjadaczami chleba, a nie poetami. Dlatego też natychmiast rozdzielili Beniamina i cielę. Tych serdecznych i miłych. Cielę odprowadzono do matki, nie skąpiąc mu przy tym dokuczliwych słówek. Wypomniano zwierzęciu niegrzeczne zachowanie. Beniamina zaś wyciągnięto z kąpieli i zaprowadzono do alkierza, gdzie spoczął na wiązce słomy. Dostał także poduszkę pod głowę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY. BENIAMIN OTRZYMUJE POLICZEK

Po nocnej kąpieli, dokładnie obmyty wodą wylaną z cebra, Beniamin poczuł, że ból w kościach nieco ustąpił. Rano był rześki, wypoczę-

ty. W przygodzie z cielęciami dostrzegł palec boży. To dzięki boskiej ingerencji ustały bóle; wyzdrowiał. Tłumaczył więc Senderlowi, że niesprawiedliwym stworzeniem jest człowiek, który uskarża się na los, gdy dosięga go nieszczęście. Nie rozumie, grzesznik, że bieda może odmienić się w szczęście, że, jak mówią, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Pan Bóg wybiera na wykonawców swojej woli różne istoty. Może wybrać nawet krowę. Także cielę odgrywa czasem rolę lekarza. Nawet mała muszka potrafi drążyć mózg, straszliwie dokuczać lub stanąć w gardle. Najlepszym tego potwierdzeniem jest historia, która przydarzyła się w czasach starożytnych cesarzowi Tytusowi. Nocne wydarzenie było dobrą wróżbą. Podróż weszła w szczęśliwą fazę i jeśli Bóg pozwoli, osiągną to, czego tak bardzo pragną.

Od wieków wiadomo, że napotkać nosiwodę z pełnym wiadrem to dobry znak. Cóż dopiero cały ceber!

— Ceber — zawtórował Beniaminowi Senderl.

Ból w nogach i miłe słowa spowodowały, że Benjamin pozostał w Pijawce jeszcze przez cały dzień. Był niczym okręt, który osiadł na mieliźnie i czeka na sprzyjający wiatr, by popłynąć dalej.

Następnego dnia o świcie Benjamin zerwał się ze swego posłania i ruszyli w drogę. Przez dłuższy czas trapiła go melancholia. Szedł pogrążony w zadumie i w ogóle nie odezwał się. W pewnej chwili uderzył się w czoło i wielce zasepiony przystanął. Milczał kilka chwil, nim wyrzekł z westchnieniem te oto słowa:

— Och, Senderl, zapomniałem!

— Czegoś zapomniał? Gdzieś zapomniał?

— dopytywał się Senderl, jednocześnie chwytając torbę.

— W domu, Senderl, w domu zapomniałem.

— Co ci przyszło do głowy, Beniaminie? Wzięliśmy chyba wszystko, co jest potrzebne człowiekowi podczas wyprawy. Torba, ucho-
waj nas Boże od grzechu, jest. Tałas, tefilin i modlitewnik są. Kapota szabasowa też. I to

chyba wszystko, ku chwale Najwyższego. Zabrałiśmy wszystko. Co nas więcej może obchodzić? Co mogliśmy zapomnieć?

— To, o czym zapomniałem, ma ogromne znaczenie. Jest wprost niezbędne do życia. Oby tylko to skończyło się pomyślnie! Jeśli jednak, bo diabeł nie śpi, spotka nas ta przygoda, wtedy dopiero będziemy w stanie ocenić wartość tego, o czym zapomniałem. Zapomniałem mianowicie wychodząc z domu wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie z pewnej księgi opartej na starym rękopisie. Należy je wygłosić przed wyprawą w pobliżu rogatek. Daje ono absolutną gwarancję i pewne zabezpieczenie przed wszelkim niebezpieczeństwem. Chroni przed złymi spotkaniami. Teraz już wiesz.

— A może chcesz wrócić do domu? — zapytał prostodusznie Senderl.

— Zwariowałeś? Zmysły postradałeś? — zawołał Beniamin. Krew uderzyła mu do głowy, policzki zaś płonęły. — Czy wiesz, co oznacza powrót do domu? Po tylu trudach, po tylu

milach już przebytych? Jak to wrócić? A świat? Co świat na to powie?

— Co ja słyszę. Mówisz o świecie, Beniaminie? A czy świat prosił cię, abyś wyruszył w podróż? Czy świat podpisał z tobą umowę i dał ci pieniądze na drogę?

— Akurat trafiłeś w sedno! — ironizował Beniamin. — A czy Aleksandra Macedońskiego proszono, aby wyprawił się do Indii i toczył tam wojnę? A tych wszystkich naszych Żydów podróżników może świat też prosił, aby wędrowali od miasta do miasta?

— Skąd ja mam o tym wiedzieć? — odpowiedział Senderl i uśmiechnął się. — Jeżeli chodzi o mnie, to zapewniam cię, że moglibyśmy siedzieć w domu. Wyszłoby to i nam, i całemu światu na dobre. Oj, pocziwcze, mój Aleksandrze Macedoński! W domu masz wszystko. Nie brak ci niczego. Siedzisz sobie zadowolony, szczęśliwy i tylko drapiesz się po brzuchu. Potrzebne ci jeszcze Indie do szczęścia, naiw-

niaku. *Sydy doma, ta ne rypajsia*⁶¹, mówi lud. A głos ludu, to, nie przymierzając, głos *Gemary*⁶². To znaczy zostać w domu i zajmować się swoją robotą. Komu potrzebne takie wędrowanie? Błąkanie się bez ładu i składu? Po co tracić zdrowie i, co najważniejsze, zdzierać buty? Powiadam ci, Beniaminie, jakem Żyd: gdybym spotkał kogoś takiego, z miejsca przytoczyłbym mu to przysłowie. Ale cóż ja plotę, zacytowałbym mu lepiej *Gemare*.

Przez dłuższy czas nasi bohaterowie toczyli zawzięty spór, Senderl zadawał pytania, a Beniamin udowadniał mu, że nie ma wcale pojęcia o tych sprawach. Senderl przypominał konia, który przez długie lata wiernie służył swemu panu, gotów za nim pójść w ogień i wodę, aż raptem, pewnego dnia, ni z tego, ni z owego stracił zapal, stanął okoniem i za nic nie chciał ruszyć z miejsca. Choć weź i powieś się. Zabij

⁶¹*Sydy doma, ta ne rypajsia* (z gw. ukr.) — siedź w domu i nie ruszaj się (nie wychylaj się; nie męcz się). [przypis edytorski]

⁶²*Gemara* a. *Gemore* — część *Talmudu*, dzieła stanowiącego podsumowanie doktrynalno-religijne pobiblijnego judaizmu, zawierająca komentarze. [przypis tłumacza]

się, ku uciezce wrogów Izraela. Benjamin nie znalazł bata, aby przekonać upartego Senderla. Ostрым językiem wiercił mu dziurę w brzuchu, zasypywał go gradem słów. Wreszcie Senderl zmiękł i stał się znowu potulnym konikiem. Nastawił uszu. Słuchał baczenie słów, które drążyły mu mózg i wreszcie, zgodnie ze zwyczajem, oświadczył:

— Skoro tak chcesz, niech będzie po twojemu. Też mi zmartwienie.

Uporawszy się z Senderlem, Benjamin pociągnął towarzysza dalej. Przemierzyli wiele mil dróg i ścieżek, aż ledwie żywi dotarli do Teterywki. Tu zatrzymali się. Teterywka była dużym miastem. Nic więc dziwnego, że gapili się na równo wybrukowane ulice, murowane domy i nie mogli się napatrzeć do syta. Chodzili po trotuarach prawie na czubkach palców. Podnosili przy tym nogi w dziwaczny sposób, tak jakby bali się, że stąpając mocniej, uszkodzą gładkie kamienie. Chodziło w gruncie rzeczy tylko o nogi. Nie zaznały one dotąd szczęścia u swoich właścicieli. W małych miasteczkach

nigdy się z nimi zbyt nie certowano. Małomiasteczkowe nogi, które nigdy nie zaznały podłóg. Nogi, które brodziły niczym świnie po błocie, nurzały się w nim często po kostki, bo tak żądał ich właściciel. Nic dziwnego, że takie nogi mogły ulec, wzorem pijaka, zamroczeniu, gdy nagle poczuły pod sobą kamienne podłoże. Z wielkiego szacunku zaczęły podskakiwać i przez pewien czas nie wiedziały, gdzie się mają podziać. Na wybrukowanych ulicach wielkiego miasta w lot można poznać te nowe nogi, przybyłe właśnie z małej miejsciny.

Ostrożnie chodzili po mieście. Z szacunkiem ustępowali drogi. Gdy kogoś spotykali, Senderl chwycił Beniamina za poły i odciągał na bok. Pewnego razu z tego powodu Senderl musiał nawet wykonać krótki taniec z człowiekiem, który nadszedł z przeciwnej strony. Zszedł na bok, zastępując w ten sposób tamtemu drogę. Ów rzucił się w prawo, ale nasz Senderl go uprzedził i już tam był. Jednocześnie skoczyli więc w lewo i znowu w prawo,

aż wreszcie przechodniowi udało się wyminąć Senderla. Inny mężczyzna, wyraźnie nie mający ochoty zatańczyć z Senderlem, po prostu odrzucił go na stronę. Senderl omal przy tym nie stracił zębów. Dla naszych bohaterów to wszystko było nowością. Mieli wrażenie, że wszyscy im się przyglądają, pokazują palcami. Zdawało im się, iż dorożki huczą, faetony⁶³ dudnią, bramy pysznią się przed nimi, domy patrzą na nich z góry poprzez szyby, a ludzie naigrywają się z nich i pokrzykują: — Kultury, kultury, łapserdaki! Kultury, małomiasteczkowe Żydki! Kultury i jeszcze raz kultury!

Senderl zadarł głowę i z podziwem oglądał kamienice.

— Słuchaj, Beniaminie — powiedział. — Mam wrażenie, że to chyba Stambuł.

— Daj spokój, naiwniaku. To się nawet nie umywa do Stambułu. — Beniamin powiedział to z taką miną, jakby był rodzonym stambuńczykiem. — Stambuł, jak wiadomo, posia-

⁶³*faeton* — tu: niezadaszony pojazd konny, najczęściej dwuosobowy. [przypis edytorski]

da pięćset razy po pięćset ulic. Każda ulica ma pięćset razy pięćset piętnaście, dwadzieścia albo nawet pięćset trzydzieści wysokich domów. A w każdym domu mieszka pięćset razy po pięćset ludzi. Sądzisz, że to już wszystko? Nie, zaczekaj, naiwniaczku. Do tego dodaj zaułki, uliczki, oraz place, których jest tyle, ile piasku nad morzem.

— O rety — wyrwało się z ust zdumionemu Senderlowi. — Na Boga, to strach. Takie duże miasto! Wyjaśnij mi, Beniaminie, skąd się biorą takie miasta? Ludzie cisną się, duszą na jednym kawałku ziemi. Leży jeden na drugim tak, jakby świat był za mały i brakowało miejsca na nim. Chyba tkwi coś w tym, że ludzie oddalają się od ziemi i chcą się wznieść w przestworza. Pragną zdobyć najwyższe nieba. Może dlatego, że dusza człowieka pochodzi z nieba i przez to ciągnie ją tam. Chce wciąż wyżej i wyżej. Ma ochotę rozwinąć skrzydła. Wzbić się wysoko i pozostać na zawsze w przestworzach. Co na to mówią twoi uczeni, Beniami-

nie? Znalazłeś coś na ten temat w swoich książkach?

Beniamin zmarszczył czoło i odpowiedział: — Dość sporo na ten temat dotąd napisano. W swoim czasie sam nawet zajmowałem się tą sprawą. W bożnicy za piecem. Dzięki temu został wyjaśniony ustęp *Gemary* traktujący o dziesięciu garnkach nędzy, które posłano na ziemię. Objasniono również sens następującego zdania: „Cały świat nappełnił się grabieżą, ziemia pełna była rozboju”. Spróbuję ci jednak wytłumaczyć to na podstawie samej *Tory*. Z pewnością przerabiałeś kiedyś *Pięcioksiąg*. Otóż według *Pięcioksięgu* wczesne pokolenia naszych przodków mieszkały w namiotach. Później, gdy przyszło na świat Pokolenie Rozłamu i czas wieży Babel, ludzie zebrali się w jednym miejscu i wytwarzali cegły, aby z nich zbudować miasto o domach sięgających nieba. Podczas pracy wpadli w popłoch. Pomieszali się. Przestali się nawzajem rozumieć. Wyszło zatem zupełnie nie tak. Cud, że Pan Bóg rozpedził ich w porę. Dzięki temu mogli rozpo-

cząć na nowo normalne życie i odetchnąć swobodnie. Świat został ocalony. Grzech pychy zapoczątkowany przez Pokolenie Rozłamu wciąż jednak daje o sobie znać. Skutkiem więc ich przewiny tkwi od owych czasów w ludziach pragnienie życia w skupiskach. Wizja wysokich domów. Żądza poznania tajemnic Boga. A wszystko po to, aby wznieść się w niebiosy. „Czemu się do mnie przyczepiłeś jak złoczyńca” — powiada Abraham do Lota. „Czemu to twoi ludzie mają się kłócić z moimi o piędź ziemi, kiedy cały świat przecież stoi przed tobą otworem. Możesz sobie iść, dokąd pragniesz, a mnie zostaw”.

Zanim jednak Benjamin dokończył swój wykład, posłyszeli donośny krzyk właściciela dwukonki⁶⁴, która tymczasem najechała z tyłu na naszych bohaterów i o mały włos nie potraçała ich dyszlem.

⁶⁴*dwukonka* (daw.) — pojazd dwukonny; bryczka, do której zaprzęga się dwa konie. [przypis edytorski]

— Pętaki! — ryknął na nich woźnica i pogroził batem. — Łazicie jak te raki! Nie tarasujcie drogi! Och wy, niedołęgi, ślamazary!

Nasi bohaterowie wzięli nogi za pas i jak przerażone zające rozbiegli się na dwie strony. Senderl natrafił na słup. Zderzył się z nim i jak długi runął na ziemię.

Beniamin wpadł na kosz pełen jaj, który właśnie niosła kurołapka, czyli handlarka drobiem. Jajka potłukły się i powstało istne piekło. Pisk, krzyk i urwanie głowy. Kobieta obсыpała dzielnego podróżnika gradem straszliwych przekleństw. W końcu wymierzyła mu siarczasty policzek i na dodatek jeszcze chciała mu wyrwać włosy z głowy. Beniamin przeżył więc całkiem sporo, nim udało mu się wyrwać z rąk przekupki i umknąć w boczną ulicę. Tam spotkał się z Senderlem.

— Oto i masz to wielkie miasto! — rzekł Senderl, ocierając połą płaszcz pot z twarzy. — Tu nie stój, tam nie chodź. Tu nie siadaj. A niech ich jasny piorun!

— To się jeszcze ciągnie od Pokolenia Rozłamu — stwierdził Beniamin, sapiąc niczym gęś. — Wszystko, co tu widzisz, to następstwo Pokolenia Rozłamu, pokolenia wieży Babel: chaos, tumult wypełniony złodziejstwem, grabieżą i rozbojem.

— No to głową do ziemi! Chodź, Beniaminie — powiedział Senderl. — Czas odpocząć! Okropnie wyglądasz, policzek ci płonie. A niech tę beczelną babę szlag trafi. Wytrzymaj twarz. Ta przekupka wysmarowała ci ją złotkiem.

ROZDZIAŁ SIÓDMY. JAK Z POWODU BENIAMINA DOSZŁO DO PRZEWROTU W POLITYCE

W jednej z bożniczek Teterywki wrzało od rozmów na temat toczącej się wówczas wojny krymskiej. Zapiecek podzielił się na kilka grup. Każda miała swego prezesa i własną linię polityczną.

Chajkl Głowa ze swoją grupą przejmował się szalenie ciocią Wikta⁶⁵. Analizował szczegółowo posunięcia jej rządu. Po prostu rozkładał je na czynniki pierwsze. Wydobywał na jaw wszystkie zatajone plany i rozmaite kruczki.

W swoim czasie Chajkl zajmował się po trosze zegarmistrzostwem. Miał sprawne ręce, był zręczny w posługiwaniu się krążkiem do wytłaczania otworów w macy. Nikt nie potrafił mu dorównać we wznoszeniu szałasów na święto Sukot⁶⁶. Deseczka do krajania makaronu, stara szufla, półka na mleczne potrawy, półka czulentowa⁶⁷ i połamany kojec nigdzie i u nikogo tak idealnie nie pasowały do siebie, jak w szałasie jego roboty. Były dopasowane jak w zegarku. Nic więc dziwnego, że ilekroć tylko rozmowa schodziła na tematy techniczne, ludzie z szacunkiem podkreślali: — W tym dobry jest Chajkl. Na tym to Chajkl się zna.

⁶⁵*ciocia Wikta* — tu: brytyjska królowa Wiktoria (1819–1901) lub przen.: Wielka Brytania. [przypis edytorski]

⁶⁶*Sukot* a. *Sukes* — Święto Szałasów, Kuczki. Obchodzone na pamiątkę pobytu Żydów na pustyni. Również uroczystość zakończenia zbiorów. [przypis tłumacza]

⁶⁷*czulentowy* — związany z czulentem, tradycyjną potrawą żydowską. [przypis tłumacza]

Chajkl opowiadał niezwykle historie o fantastycznie dziwnych angielskich maszynach, że aż włosy stawały dęba. Gdy ktoś przerywał mu prośbą o dokładniejsze wyjaśnienia, Chajkl odpowiadał krótko i węzłowato, posługując się przykładem sprężyny. Robił przy tym osobliwą minę i uśmiechał się słodko, jakby objaśniał arcytrudną kwestię i otwierał w ten sposób oczy pytającemu. Za pomocą sprężyny Chajkl wyjaśniał dosłownie wszystko. Zasadę działania zegara i telegrafu lub pozytywki, a także mechanizmy wszystkich innych wynalazków.

Icka Prostaka sprężyny Chajkla nigdy nie pociągały. Widział w nich coś w rodzaju odstępstwa od ogólnie przyjętych prawd, formę herezji i nie mógł powstrzymać się od ironicznych uwag: — Chajkl wkrótce wmówi wam, że golem i podobne mu cuda też są na sprężynkę. Tfu, doprawdy, tylko splunąć. Wszystkie jego wymysły to jedynie, za przeproszeniem, skończone głupstwa.

A ponieważ Chajkl Głowa był zakochany w cioci Wikcie, Icek Prostak, jego zaprzysię-

żony oponent, uczepił się cioci Rosi⁶⁸. Bronił jej konsekwentnie, stał za nią murem.

Każda partia starała się przeciągnąć na swoją stronę pozostałe grupy. Zdawało się na przykład, że oto Chajkl już dogadał się ze Szmulkim Bokserem, prezesem klubu wuja Izmaela⁶⁹, i jest na najlepszej drodze do porozumienia się z Berlem Francuzem, liderem licznego stronnictwa Napoleona, gdy nagle Icek zrywał się, robił wrzawę i przeciągał na swoją stronę Tewjego Moka, zwolennika Kiry⁷⁰. Każdy wykladał swoje racje. Świat chwiał się w posadach. Bożniczka trzeszczała.

Właśnie podczas takiego zamieszania nasi bohaterowie dotarli do Teterywki. Trafili wnet do rozpolitykowanej bożniczki. Senderl, który zwykł we wszystkim ustępować, również w tej materii nie miał zamiaru bronić swoich racji. Zgadzał się z każdym i każdemu przytakiwał.

⁶⁸*ciocia Rosia* — tu przen.: Rosja. [przypis edytorski]

⁶⁹*wuj Izmael* — tu przen.: Turcja, Imperium Otomańskie. [przypis edytorski]

⁷⁰*Kira* — być może aluzja do daw. slangowego słowa *kira*, oznaczającego wódkę. [przypis edytorski]

— Chcesz tak — zwykł mawiać — niech będzie tak.

Dzięki tej ustępliwości zyskał sobie powszechną sympatię i z miejsca przypadł wszystkim do gustu. Na początku stwierdzono, że Senderl nie jest fałszywy.

— To Żyd — mówili — prostolinijny, nie uznaje żadnych podstępów, wolny od przywary, której na imię upór. — I gdy Senderl pozostał w idealnej zgodzie z miejscowymi ludźmi, Beniamin dla kontrastu był nader wybredny w nawiązywaniu znajomości. Od początku spodobał mu się Szmulik Bokser. Stopniowo zbliżył się do niego. Wkrótce połączyły ich mocne więzi przyjaźni. Beniamin ujawnił mu plan swojej podróży. Szmulik był zachwycony. Postanowił omówić tę sprawę z Chajklem. Były zegarmistrz ujął sprawę w swoje ręce, chociaż nie należała do najłatwiejszych. Naradził się z Berlem Francuzem i Tewje Mokiem, razem wzięli problem na warsztat. Nie kryli przy tym wielkiego uznania dla Beniamina.

— On — doszli do wniosku — rzeczywiście nie wygląda na zwykłego człowieka. Dziwnie roztargniony, zupełnie jakby nie z tego świata. Gdy mówi, trudno cokolwiek z tego zrozumieć. Zdarza się, że wpada w zadumę, wytrzeszcza szkliste oczy i dziwnie się uśmiecha. Wygląda dziwacznie i tak samo się zachowuje. Wiele wskazuje na to, że należy do zupełnie odmiennej kategorii ludzi. W nim tkwi jakaś tajemnica. Niełatwo go rozszyfrować. Kto wie, czy Beniamin w ogóle jest Beniaminem. Dziwne się na tym świecie dzieją rzeczy.

W bożniczce panował straszny harmider. Odbywała się sesja polityczna. Dyskutowano z Ickiem Prostakiem, który wydzierał się na całe gardło. Starał się przekrzyczeć oponentów.

— Zobaczcie, co jest napisane w *Josipponie*⁷¹ — mówiąc to uderzał palcem w stronicę otwartej księgi. — W *Josipponie* stoi jak byk, że Aleksander Macedoński pragnął odnaleźć potomków Jonadewa, syna Rechewa. Udało mu

⁷¹*Josippon* — ludowa księga żydowska zawierająca fantastyczne opowieści. [przypis tłumacza]

się dotrzeć do Gór Ciemności, ale dalej nie mógł się przedostać wraz ze swoją potężną armią. Nogi grzęzły żołnierzom po kolana w błocie. Ponieważ słońce tam nie dochodziło, ziemia zamieniła się w bagno. Mam wrażenie, że zrozumieliście już, o co mi chodzi. Sam Aleksander Wielki, Aleksander Macedoński, który dosiadł w locie orła, który był już u wrót raju, nie zdołał pokonać Gór Ciemności. Tym bardziej nie zdoła tego dokonać nasz Beniamin. Tu nie pomoże nawet Chajkl i jego sprężyny.

— Ty zakuta pało — ryknął Chajkl, wskazując przedmówcę grubym palcem. — Gdzie ty masz oczy? A popatrz, jeśliś łaskaw, co mówi księga. Stoi jak byk: Aleksander usłyszał głosy ptaków mówiących po grecku. Jeden z ptaków zwrócił się do niego tymi oto słowy: „Trud twój daremny, chcesz bowiem wedrzeć się do Przybytku Pańskiego, w którym przebywać mogą tylko jego słudzy, synowie Abrahama, Izaaka i Jakuba”. Rozumiesz już, zakuty łbie, dlaczego Aleksander Macedoński nie mógł tam wejść?

— A co powiesz, mój mądralo, jeśli się okaże, jak zresztą wielu mędrców twierdzi, że te dziesięć pokoleń, ci Czerwoni Żydzi, synowie Mojżesza, mieszkają zupełnie gdzie indziej? Powiedzmy w okolicach kraju księdza Jana. Szukaj, a znajdziesz go na święty nigdy.

— Bzdury pleciesz Icku! Przysięgam, bzdury.

— Zaczekaj, zechciej chwilę zaczekać, mój mądralo! Jest jeszcze Sambation⁷². Co zrobisz z Sambationem? Co powiesz o tej rzece, która przez sześć dni w tygodniu miota kamienie? Załóżmy, że udało ci się sforsować Góry Ciemności. Dotarłeś do kraju księdza Jana. Teraz masz przed sobą Sambation. I stop. Lawina kamieni. Dalej ani kroku. Tu na nic twoja Wikta. Choćby stanęła na głowie.

— Aha! Już zaczepiasz Wikte, oto dokąd zajechałeś!

⁷²*Sambation* — legendarna rzeka w dalekich krainach, za którą ukrywają się zaginione plemiona Izraela. Rzece tej przypisywano magiczną właściwość: miała płynąć tylko przez sześć dni w tygodniu, respektując sobotni odpoczynek. [przypis edytorski]

— Dalibóg, co to za chwyt, Icku! Ni z tego, ni z owego drwiesz sobie z królowych — wtrącił zagniewany Berl Francuz. — Mówimy przecież o Beniaminie, jego możesz besztać, ale proszę cię, królowych do tego nie mieszaj.

— A z jakiego powodu należy besztać Beniamina? — zapytał Tewje Mok. — Mnie się wydaje, że Beniamin kroczy drogą mogącą przynieść Żydom zbawienie.

— Oj, Moku, Moku — powiedział z wyrzutem Icek, kiwając przy tym głową. — Przysięgam, że tego po tobie się nie spodziewałem. Nie spodziewałem się, żebyś trzymał sztafę z nimi i w ten sposób komentował poczynania Beniamina. Coś ty takiego szczególnego w nim dostrzegł?

— Coś ty takiego nadzwyczajnego w nim dostrzegł? — przedrzeźniał Icka Szmulik Bokser. — Czyś ty czasem nie zwariował, Icku? Mnie się wydaje, że jego roztargnienie, jego skłonność do melancholii, sposób, w jaki patrzy i mówi, dobitnie świadczą o tym, kim jest. Najlepszym zwierciadłem człowieka jest jego

twarz. Jeśli to ci nie wystarcza, to już naprawdę nie wiem, co znaczy dla ciebie człowiek. Akurat nadchodzi, możesz mu się przyjrzeć. Powiedz, proszę cię, jeśliś łaskaw, ale tak z ręką na sercu, czyś ty czasem nie oszalał? Popatrzcie na niego. Jeden z jego policzków błyszczy czerwonym płomieniem, a trzy żółte pasemka w kształcie litery *szin* przecinają jego twarz. No, Icku, jak ty teraz wyglądasz?

Icek podszedł do Beniamina, zmierzył go od stóp do głów, splunął, nieomal mu w twarz, i odszedł wściekły. Od tego momentu sytuacja w bożniczce uległa zmianie. Szmulik Bokser wraz z Berlem Francuzem zawarli pakt z Chajklem Głową. Wikta wysłała na morze tysiące okrętów ze straszliwymi maszynami. Wujek Izmael przekroczył Prut⁷³, a Napoleon zasypał gradem bomb Sewastopol⁷⁴. Tewje Mok wahał się. Nie mógł się zdecydować, na którą stro-

⁷³*Prut* — rzeka w płd.-wsch. części Europy, lewy dopływ Dunaju. Dziś wyznacza granicę między Rumunią a Mołdawią. [przypis edytorski]

⁷⁴*Sewastopol* — miasto w płd.-zach. części Krymu, port nad Morzem Czarnym. W czasie wojny krymskiej główne miejsce walk, kwatera wojsk rosyjskich; jego oblężenie trwało prawie rok. [przypis edytorski]

nę przejść. Obracał tylko językiem i nie wiedział, na jakim świecie żyje. Icek Prostak natomiast pozostał sam; samotny jak palec. Próbował walczyć, wprost wychodził z siebie. Przecież to nie żarty. On jeden, na ich tyłu. Tym bardziej wziął się na Beniamina. Odtąd wciąż szukał z nim zatargu. Gdzie tylko mógł, robił mu na złość.

— Bóg mi świadkiem — pisał Beniamin — że nie wtrącałem się do polityki. To nic by nie dało. Co polityka ma wspólnego z Żydami? Dla mnie mogło być tak, mogło być inaczej. Wszystko jedno. Również Senderl, za Boga, nie mieszał się do tych spraw. Mimo to Icek nie dawał mi spokoju ani w dzień, ani w nocy. To obsypywał mnie podstępnie pierzem, to ukradkiem rzucał we mnie poduszką, to znów chował mi but, a ja miałem potem urwanie głowy. Gdym tylko zasypiał, łaskotał mnie słomką po piętach. Budziłem się przerażony. Gdym ponownie zasnął, puszczał mi dym w nos. Zrywałem się wtedy z posłania półżywy, kaszla-

łem potem przez godzinę. Wychodziło na to, że z mojej winy trzy partie połączył sojusz.

ROZDZIAŁ ÓSMY. O TYM, JAK NASI BOHATEROWIE CHODZILI PO PROŚBIE

Większą część dnia nasi bohaterowie poświęcali na uganianie się za zarobkiem. Składali wizyty w domach mieszkańców Tetrywki, nic więc dziwnego, że wnet stali się sławni. Pokazywano ich z daleka palcami. Witano uśmiechami, dobrymi słowami. Ktoś inny na ich miejscu chodziłby dumny jak paw z powodu okazywanego mu szacunku. Obwieściłby na cztery strony świata, że wszyscy, bez uroku, ludzie cenią go, wprost pławią się w rozkoszy na jego widok i delektują każdym łaskawie im wydzielonym słowem. Bo przecież pozdrawiają go uśmiechem już na progu domu i takim samym uśmiechem odprowadzają potem do samych drzwi. Nasi bohaterowie należeli jednak do ludzi skromnych i nic sobie nie robili z tych

zaszczytów. Beniamin miał głowę zaprzątniętą własnymi sprawami, zaś Senderl zważał tylko na jedno: dbał, aby torba była pełna. Aby w kieszeni znalazło się trochę grosza na niezbędne wydatki. Dla Żyda jest obojętne, jak wręczają mu datek. Czy przy tym grymaszą, czy też śmieją się. Ważne tylko, aby w ogóle coś dali.

Dziś jest Purym, a jutro już nie —
Dajcie grosik i wyrzućcie nas precz.

Ta popularna żydowska piosenka doskonale charakteryzuje naszych bohaterów. Pewnie dlatego Senderl nucił ją bez przerwy. — Dzień dobry! Szczęść Boże! — pozdrawiali gospodarzy. W takich wypadkach Senderl najpierw ciągnął Beniamina za poły, a potem wypychał go naprzód. Szeptem udzielał mu wówczas rad, by zechciał przemóc wstyd. Sam zaś stawał z boku i przyjmował postawę pełną skromności i szacunku.

Pewnego razu, gdy obchodzili dom po domu, w jednym z mieszkań natknęli się na młodego człowieka, który właśnie zajęty był rozmową z gospodarzem. Młodzieniec wyraźnie nie skąpił sobie pochwał. Podpierał swoje racje jakimiś papierkami i raz po raz wysuwał konkretne żądania. Gospodarz raczej nie okazywał zachwyty. Krzywił się z dezaprobatą i dumał, jak się uwolnić od tego młodzieńca. Ujrzawszy naszych bohaterów, uczepił się ich jak tonący deski. Powstał i ruszył im naprzeciw. Miał nadzieję, że mają do niego jakiś ważny interes. To oznaczałoby wybawienie. Kiedy jednak usłyszał, o co im chodzi, przeraził się. Uznał ich odwiedziny za dopust Boży, za klęskę, która spadła nań nieoczekiwanie. Tym gorzej, że to podwójne nieszczęście. Masz ci los! Jeszcze kilku podróżników. Gospodarz aż syczał ze złości. Zwrócił się do młodzieńca:

— Ci oto Żydzi to także podróżnicy. Niech pan przyjmie to do wiadomości. Sami wędrowcy zwalili się na moją biedną głowę.

Młodzieniec zmierzył naszych bohaterów złym okiem, ci zaś odwzajemnili mu się podobnym spojrzeniem.

— Słuchaj, Beniaminie — szepnął Senderl, trzymając jednocześnie towarzysza za poły kapoty. — Możliwe, że ten oto młodzieniec udaje się w tym samym kierunku, co my. Jeszcze gotów, uchowaj Bóg, nas wyprzedzić. Gotów wystrychnąć nas na dudków.

— Coś mi się wydaje, że stanowicie razem dobraną kompanię — odezwał się gospodarz.

— Skarz nas Bóg — gorliwie zaprzeczyli Beniamin i Senderl. — Wędrujemy oddzielnie, każdy swoją drogą. Pora chyba już iść.

— A idźcie sobie na zdrowie. Niech będzie oddzielnie. Dla mnie i tak wszystko jedno — mówiąc to gospodarz wyjął z kieszeni monetę.

Na ten widok Senderl natychmiast wyciągnął rękę.

— Darujcie ją, za przeproszeniem, nam. My zaś wydzielimy już temu młodzieńcowi jego udział. Młody człowieku, chodź z nami. To,

co ci się należy, dostaniesz. Ja mam drobne, rozmienię.

Nieoczekiwanie drzwi kuchenne otworzyły się z łoskotem i rozległ się kobiecy krzyk:

— Ależ to on! Ten sam. Obok tego chuderlaka. Wtedy też włóczyli się we dwójkę. Od razu go poznałam. To cudo, tę piękność! Poznaję. Ta sama gęba, ta sama ruda bródka. Ale bym mu z niej włoski wyrwała. Boże jedyny! Spraw, aby jego serduszko szlag trafił! Oby mu szpik w grzesznych kościach wysechł na amen.

— Nic tu po nas, Beniaminie! Chodźmy stąd — Senderl wziął przyjaciela za klapy, powlókł za sobą i rzekł: — A niech ją lichy porwie. To ci bezczelna baba! Ją ciągle jeszcze obchodzą te jajka!

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY. JAK ZA- SŁUGI PRZODKÓW OBRÓCIŁY SIĘ NA KORZYŚĆ NASZYCH BOHA- TERÓW

Tylko stękać i wzdychać, gdy czyta się życiorysy sławnych myślicieli i wynalazców. Ilu krzywd doznali od świata, któremu poświęcili całe swoje życie. I za co? Za to, że wypełnili go wieloma przepięknymi rzeczami, stanowiącymi owoc ich wyteźzonej pracy. Świat jest niczym dziecko, które uparcie trzyma się spódnicy matki. Trzyma spódnicę i boi się odstąpić choćby na krok. Przepada za naiwnymi bajkami, które powtarzają mu w kółko niańki i babcie. Dziecko, które uważa, że nie ma na tym świecie nic lepszego od jego zabawek, że w tych zabawkach mieści się cała mądrość ludzka. A gdy do takiego dziecka przychodzi pomocnik mełameda⁷⁵, aby je zaprowadzić do chederu⁷⁶, to podnosi krzyk

⁷⁵*mełamed* — nauczyciel w chederze. [przypis tłumacza]

⁷⁶*cheder* — dawna elementarna żydowska szkoła religijna, w której chłopcy od piątego roku życia uczyli się modlitw i *Biblii*. [przypis tłumacza]

i rwetes, jakby je krzywdzono lub wręcz zarzy-
nano. Świat chce żyć po staremu, zgodnie ze
swoimi nawykami.

Każda nowość razi go swoją dziwacznością.
Jest mu obca. Buntuje się przeciw niej, nie ską-
pi jej szyderstw, autora wynalazku zaś miesza
z błotem. Później dopiero, gdy nowość staje się
już faktem, zyskuje prawo obywatelstwa, gdy
ponad wszelką wątpliwość jest użyteczna, lu-
dzie garną się do niej, zaczynają z niej korzy-
stać, mają nawet przy tym satysfakcję. Zapo-
minają jednak o tym, który w trudzie i znoju
kosztem wielu wyrzeczeń dokonał wynalazku
lub odkrycia. Szczęście, że świat, a należy to za-
pisać na jego plus, przypomina sobie czasami,
że wypada odmówić na cześć wynalazcy *requi-
iem* i wystawić mu po śmierci pomnik.

Wielu ludzi zażywa dziś szczęścia i wolno-
ści w Ameryce, nie zdając sobie wcale sprawy,
że odkrywca tego kontynentu, Krzysztof Ko-
lumb, gdy zaczął głosić swoje idee, uważany był

przez cały współczesny mu świat za szaleńca. Stał się po prostu przedmiotem drwin.

Tak się miała rzecz z naszym Beniaminem z Tuniejadówki. Ludzie, ledwo rzuciwszy na niego okiem, uznali go za pomyleńca. Kiedy natomiast wysłuchali jego opowieści o zamierzonej podróży, śmiali się do rozpuku. Naigrywali się z niego, docinali mu i zaczepiali na każdym kroku. Wykpiwano go. Szczęście, że Beniamin nie był zbyt domyślny ani przeczułony. Rozchorowałby się ze zmartwienia i mógłby, nie daj Boże, zrezygnować i plunąć na tę swoją podróż. Pomińmy milczeniem wiele tak zwanych „pomysłów”, które dotyczyły Beniamina. Nie chcemy bowiem, aby na nas wszystkich padł jakikolwiek cień winy. Nie chcemy, aby została na nas najmniejsza choćby plamka, abyśmy z tego powodu mieli się wstydzić przed potomnością. Udajmy lepiej, że nic nie wiemy. A więc sza. Cicho, pst, mogiła. A teraz wracajmy do naszej opowieści.

— W Tetrywce — powiada Beniamin — jest wielka gmina żydowska. Mieszka tam wie-

lu Żydów, oby się mnożyli. Kim są, jakiego pokroju, jakiego rodu i skąd się wywodzą, sami nie wiedzą. Nie wyznają tego nawet pod przysięgą. Z przekazów swoich ojców, dziadów i pradziadów wiedzą tylko tyle, że pochodzą od Żydów. Jeśli wziąć pod uwagę ich ubiór, obyczaje, język, zamiłowanie do handlu, i tak dalej, to rzeczywiście powinni być Żydami. Stanowią jednak jakiś zlepek różnych szczepów. Nie ma między nimi solidarności. Jeśli ktoś z nich upadnie, nikt mu nawet nie poda ręki. Nikt go nie podniesie. Nawet, gdyby człowiek miał wyzionąć ducha.

Są wśród nich tacy, którzy doskonale znają język złodziejski — żargon, zwany tu językiem *mani forgissimus*. *Mani* znaczy język, zaś *forgissimus* — cygański. Żydzi maniforgiści znają się na chiromancji. Potrafią dobrze wróżyć z ręki. Żyją z tego i można powiedzieć, że nie najgorzej. Poza tym opanowali wiele innych profesji. Wyrabiają na przykład lampki. Przede wszystkim zasłynęli jednak w świecie jako niezrów-

nani tokarze. Zaiste, należy podziwiać perfekcję, z jaką wyrabiają różne przedmioty. Jakie wspaniałe potrafią wytoczyć dzieła, wzbudzające podziw oryginalnymi kształtami. W darze od Najwyższego otrzymali też talent do mijania się z prawdą. Korzystają też nieraz z tej umiejętności. A kłamią ci w żywe oczy głosem tak spokojnym, rzewnym, popartym ruchami rąk i innymi gestami, że człowiek szlocha i gotów stracić ochotę do życia. Twierdzą, że wywodzą się od jakichś tam ludów, które przyłączyły się do Żydów w czasie, gdy ci wyszli z niewoli egipskiej.

— W istocie — powiada Benjamin — są to porządni ludzie. Zawsze przyjmowali mnie z uśmiechem. Widać było, że znajdują wprost niewysłowioną przyjemność w obcowaniu ze mną. O tym, że są ze mnie zadowoleni, mogłem nieraz przekonać się naocznie. Życzę im też z całego serca, aby Pan Bóg oraz wszyscy przyzwoici ludzie byli z nich tak samo zadowoleni, jak oni ze mnie. Amen.

W dalszej części przytacza Beniamin zdumiewającą wprost historię. Otóż w Teterywce można niekiedy natrafić na typy w pewnej mierze świniopodobne. Łatwo je rozpoznać od pierwszego wejrzenia. Niektórzy twierdzą, że to taka rasa. Inni dla odmiany utrzymują, że decydujący wpływ na ich wygląd wywiera środowisko, czyli teren, który zasiedlają. Beniamin nie podejmował się sam rozstrzygnąć tej kwestii. Uważał, że jest to sprawa uczonych. Oni powinni problem zbadać dokładnie i nam przekazać wnioski.

— Tak czy owak — powiada Beniamin — zjawisko w samej rzeczy nie należy do nadzwyczajnych i niespotykanych na tym świecie.

Jeszcze stary Matitjahu Delekarti, dawno, bardzo dawno temu pisał w książce *Cień świata*: „W Brytanii żyją ludzie, którzy z tyłu mają ogony jak u zwierząt. Są tam również kobiety wysokiego wzrostu, potężnie zbudowane. Olbrzymki obrośnięte gęstą szczecina niczym świnię. We Francji pojawili się ludzie z rogami na czole. W górach zaś żyją kobiety po-

kraczne. Im bardziej pokraczna, tym bardziej uchodzi za piękną”. Można powiedzieć, że zupełnie tak, jak u nas. Mamy dziś u nas wiele kobiet pokracznych, którym — wybaczcie te słowa — dynda z tyłu długi do samej ziemi ogon.⁷⁷ „Cóż jest, co było? — powiada *Pismo* — to, co potem będzie. Nic nowego nie masz pod słońcem”.

— Tetrywka — powiada Beniamin — to duże miasto. Miasto o pięknych kamienicach i długich ulicach. Na pierwszy rzut oka wydaje się niezwykle żywe, życie wre tam nieustannie, kipi. Ale po dłuższym pobycie, gdy się oswoisz trochę z tym wszystkim, dochodzisz do wniosku, że w istocie rzeczy to tylko swego rodzaju Tuniejadówka. Tuniejadówka w powiększeniu. Mieszkańcy spożywają tam swoje posiłki, kładą się spać i wstają codziennie dokładnie o tej samej porze. Czas mierzy się tam według posiłków. Od śniadania na przy-

⁷⁷Mamy dziś u nas wiele kobiet pokracznych, którym, wybaczcie te słowa, dynda z tyłu długi do samej ziemi ogon. — aluzja do mody na suknie z trenem, panującej w XIX w. w średnich warstwach społecznych. [przypis edytorski]

kład do obiadu i od obiadu do kolacji. Śniadanie bowiem, obiad i kolacja odgrywają w ich życiu rolę trzech zajazdów, do których człowiek ma ochotę dowlec się na popas. Nie tylko zresztą na popas. Zwłaszcza po dniu spędzonym w suchym stepie. Utała się opinia, że powietrze Teterywki rozleniwia. Pozbawia człowieka energii, usypia. Jeśli do miasta przybędzie człowiek pełen animuszu, pragnący czegoś dokonać, to po już stosunkowo krótkim pobycie traci zarówno animusz, jak i pragnienie czynu. Pozostaje mu tylko ochota do jedzenia, do spania. Jeśli ma jeszcze ochotę do wstawania, to tylko po to, aby znów wrócić do jedzenia i do spania.

Beniamin widział tam stancje, w których zatrzymywali się małomiasteczkowi poborcy podatków oraz pokątni adwokaci. Gdy opuszczali swoje domostwa, aby udać się do Teterywki, tryskali jeszcze werwą. Przepelniała ich jeszcze moc ponad zwykłą miarę. Trzeba jechać, wołać, i starali się wszystkich o tym przekonać.

Trzeba koniecznie pojechać. Wykazać inicjatywę, pracować, tyrać, ściągnąć pieniądze. Te zaś są potrzebne na określone cele społeczne, na ważne potrzeby miasta. Ich praca jednak, ich starania nikomu nie są przydatne. Jak piąte koło u wozu. Od wszystkiego jest przecież budżet. Wszystko odbędzie się bez ich pomocy i ich udziału. Ale oni zdążyli już nabrać ochoty. Jakoś dziwnie w tym zasmakowali. Ściągać mieli od ludzi pieniądze dla siebie, dla swoich żon i swoich dzieci. Czym prędzej ruszyli w drogę. Jak to się mówi: „W dobry czas na szczęście”.

Po przybyciu do Teterywki, natychmiast, jakby za sprawą szatana, tracili ochotę i zapał. Nie wiadomo, jak, kiedy i gdzie podziało się całe ich junactwo. Na stacji ogarnęło ich lenistwo, osobliwa bezradność. Zachowywali ochotę tylko do jedzenia, picia i snu. Jakby ich ktoś zaczarował. W takim stanie spędzają nieborycy dni i lata. Na ich prośbę ludzie przysyłają im pieniądze i jeszcze raz pieniądze, a oni

wciąż przebywają na stacji. Ziewają, jedzą i piją. Zaczarowani książęta. Po prostu nie da się ich stamtąd wyciągnąć. Nie pomoże tu żaden cudotwórca. Nie da rady nawet znachor.

Beniamina opanowała przemożna chęć poznania kogoś ze znanych miejscowych uczonych lub pisarzy. W pewnej mierze sam był przecież uczonym. Był badaczem, nieraz zagłębiającym do poważnych dzieł naukowych. Wiedział, co to jest żydowska księga filozoficzna, z której czerpali swoją mądrość i wiedzę w zakresie siedmiu dziedzin nauki owi uczeni ludzie z Teterywki. Jakże więc? Być w Teterywce i nie spotkać się z mężami o podobnych poglądach? Ponadto chciał omówić z nimi plan swojej podróży. Tacy ludzie jak oni potrafią to właściwie ocenić. Miał nadzieję, że otrzyma od nich listy polecające, że w listach wysoko go ocenią. Wiedział, że ludzie ci lubią wystawiać listy polecające nawet w drobnych sprawach, w zupełnie drobnych głupstwach. Cóż dopiero w jego sprawie, tym doprawdy wielkim przedsięwzięciu. Tu ich pióro puści się w galop. Ni-

czym rączy rumak. Do kogo by jednak Benjamin nie przyszedł, zastawał go śpiącego. Raz udało mu się dopaść jednego. Był to strasznie wielki pisarz. Niezmiernie sławny, figura. Siedział rozparty na tapczanie w bocznym pokoju.

— Dzień dobry!

— Dzień dobry! Czego sobie Żyd życzy?

— Nic szczególnego. Chciałbym tylko porozmawiać.

Mówi i mówi, nie zapowiada się dobrze. Sławny pisarz jakby naraz oklapł. Ledwo porusza ustami. Wydaje się, że za chwilę jego dusza opuści ciało. Oczy mu się kleją. Benjamin zaczyna go pobudzać. Przemawia do niego. Starą się, jak tylko może. Daremny trud. Zimny głaz. Upłynęło trochę czasu, nim się nieco rozbudził. Ziewnął potężnie, poczochnął się i zawołał żonę.

— Kiedy wreszcie zasiądziemy do stołu?

— z trudem wydobył z siebie pytanie. Rozprostował z ociąganiem kości i znowu ziewnął.

— A podaliby coś do jedzenia. Mam ochotę troszkę się zdrzemnąć.

Zatem Teterywka to jedna wielka sypialnia. Wszystko, co w niej się mieści, śni sobie spokojnie. Nauka, handel, banki, sądy, przedsiębiorstwa, zakłady i urzędy. Nikogo i niczego nie można się tam dobudzić. Gdy kilku ludzi naraz zbiera się gdzieś, natychmiast tracą mowę. Jakby zapominają języka w gębie. Siedzą, ziewają i patrzą po sobie. Zupełnie jakby byli golemami z gliny. Wnet też całe to towarzystwo zapada w sen. Dopiero wieczorem, gdy podają kolację, zaczyna się w nich coś ruszać. Ożywają. Z apetytem zabierają się do jedzenia. Zjedli, to do widzenia. Idą do domu spać.

Beniamin odczuł to później na własnej skórze. Nic nie robił w Teterywce, tylko jadł i spał. Odeszła mu jakoś ochota do podróżowania. Zawisło nad nim prawdziwe niebezpieczeństwo. Mógł utknąć jak żaglowiec, który wpłynął na nieruchome wody spokojnego morza. Mógł tam przespać całe życie. Mógł, gdyby na jego szczęście, a co za tym idzie — na szczęście całej ludzkości — nie zdarzyło się coś takiego, co niby sztorm albo burza popchnęło go w dalszą

podróż. Nienawiść Icka Prostaka do Beniamina rosła z każdym dniem. Ostatnio przyczepił się do niego jak rzep psiego ogona. Śmiał się i drwił z jego wyprawy. Starał się go zniechęcić przez wyolbrzymianie piętrzących się przeszkód.

— Prędzej włosy mi na dłoni urosną, aniżeli ty dotrzesz do Sambationu. Prędzej zobaczysz swoje własne uszy, nim ujrzysz Czerwonych Żydów.

Beniamin nie dał sobie jednak w kaszę dmuchać. Dowodził, że na świecie jest Bóg. Bóg nie opuszcza tych, co mu ufają. To nic, że czekają go przeszkody. Jeśli Bóg pozwoli, to przy jego wsparciu dotrze na miejsce we właściwym czasie, na złość wrogom. A gdy Beniamin w ferworze dyskusji rozkręcał się i zapalał, zaczynał równocześnie podniesionym głosem wtrącać takie oto słowa: smok, potwór, osioł, muł i wiele podobnych. W przybliżeniu oznaczało to: „Szczekajcie sobie na zdrowie. Ja w tym czasie jestem już daleko, daleko stąd. Otom już

na pustyni, maszeruję, idę, kroczę”. W tej sytuacji Icek mógł tylko trzy razy splunąć. — On zwariował — krzyczał. — Trzeba go zaprowadzić do znachora.

Doszło wreszcie do tego, że ledwie Benjamin pokazał się na ulicy, łobuziacy i chuligani uganiali się za nim jak za pomyłeńcem. Obrzucali go kamieniami i wołali: — Smok, potwór!

Pewnego razu wieczorem Benjamin i Senderl przechadzali się ulicą, gdy nagle opadła ich banda łobuzów i zaczęła niemiłosiernie im dokuczać. Chyłkiem wycofali się w boczną uliczkę. Zaulek przecinała rzeka. Nad nią przerzuciono wąską kładkę. Wbiegli na pomost i natrafili na samym środku na idącego z przeciwnej strony człowieka. Mowy nie było o wyminięciu go. Chyba, że skoczyć w dół i rozbić sobie głowę. W najlepszym wypadku można było złamać nogę. I głowa, i noga były jednak bardzo potrzebne. Bez głowy lub bez nóg nie mogło być mowy o dalszej podróży. Zatrzymali się więc i oto stoją obaj z nosami spuszczoneymi na kwintę.

— *Szolem Alejchem*⁷⁸! Witaj, Beniaminie — odezwał się idący z przeciwka człowiek. W jego głosie gniew przeplatał się ze śmiechem. — Co za cudowne spotkanie. Lepszego nie mógłbym sobie wymarzyć.

— *Szolem Alejchem! Alejchem Szolem*, reb Ajzyk Dawid! — Beniamin wypowiedział pozdrowienie całkiem nieswoim głosem. Był wyraźnie zmieszany. Stał przecież przed nim Ajzyk Dawid, syn reb Arona Josła i Sary Złoty, mędrzec z Tuniejadówki.

— Ładnie postępujecie, moi panowie — powiedział reb Ajzyk Dawid z wyrzutem. — Wykradacie się z domu jak złodzieje. Potajemnie, chyłkiem. Puszczacie się w daleki świat. A ja pytam was, dlaczego? Po co? W jakim celu? Dalibóg nie wiem. Każdy postępek musi mieć przecież swoje uzasadnienie. Wszystko, co się dzieje, powinno mieścić się w jakichś ramach. Co to ma znaczyć? Zostawić, ot tak sobie, żony i nic? Czy mają nieszczęsne uschnąć we wdowieństwie? Dalibóg, nie wiem. Odkła-

⁷⁸*Szolem Alejchem* (hebr.) — Pokój wam (pозdrowienie). [przypis tłumacza]

dam teraz na bok wszystkie inne kwestie i po raz wtóry pytam: dlaczego? Albo inaczej. Powiedzcie mi, co wy tu robicie? I ciebie, Senderl, mam na myśli. Twoja połówica, Senderl, da ci za swoje. Poczęstuje, uhonoruje jak się należy. A wściekła jest jak osa. Gotowa cię rozdrzeć na kawałki. Serce jej nie oszukało. Serce jej mówiło, że powinniście tu właśnie być. Chciała od razu tu przybyć. Twoja kobieta zamierzała przyjechać tu razem ze mną.

— Aha, jest gagatek! — okrzyk ten wydała niewiasta, ukryta za plecami reb Ajzyka Dawida.

Senderl rozpoznał swoją połówicę. Zbladł jak ściana. Ze strachu omal nie wyzionął ducha. Oburącz chwycił Beniamina za poły. Zakręciło mu się w głowie. Spadłby niechybnie z kładki do wody. Wydawało mu się, że żona już go dopada, a jej ciosy sypią się właśnie na jego głowę.

— Popatrzcie tylko na te cudne stworzenia, na te piękne istoty. Oby jeden grom ich obu naraz spalił. A gdzie to mój wyrodek? Daj-

cie mi tylko na chwilę dojsć do niego. Już ja mu pokażę. Przekona się, jakiego to Boga mamy! — tak oto jednym tchem wykrzyczała żona Senderla. Popychała przy tym reb Ajzyka Dawida.

— Tylko bez krzyku, tylko bez hałasu — prosił ją reb Ajzyk Dawid. — Trochę cierpliwości. Czekaliście tak długo, to możecie jeszcze trochę poczekać. Dzięki Bogu, słomiane wdowieństwo już wam nie grozi. A dalej, jakby to powiedzieć, stara prawda. Kobieta mimo wszystko pozostaje kobietą. A zdawało się, że mądra. Rozważmy rzecz z innej strony. Po co ten gwałt? Po co się gniewać? On odszedł, ale dlaczego odszedł? Musi przecież być przyczyna. Każdy postępek ma swoje znaczenie. Mieści się w ramach jakiejś reguły, jakiejś normy. Czy mnie rozumiecie? A jeśli już jest tak, to znaczy, że jest tak. A skoro nie jest inaczej, to rodzi się pytanie: po co ten krzyk? A wytłumaczenie jest tylko jedno. Bardzo was przy tym przepraszam. Tak, jak własną matkę przeprosiłbym. Kobieta, za przeproszeniem, zawsze

pozostaje kobietą. — Reb Ajzyk Dawid akurat rozochocił się na całego i chciał zgodnie ze swoim zwyczajem rozpatrzyć sprawę z jeszcze innej strony i pod zgoła innym kątem. Zamierzał dodać do tych rozważań trochę pieprzu i soli, ale po obu stronach kładki zgromadziło się tymczasem sporo ludzi. Złościł się, że nasi bohaterowie stoją wciąż na kładce i dyskutują. Debatują tak zażarcie, jakby cały świat ich nie obchodził. Pieklono się, że nie dadzą nikomu przejść. Kładka zaś była tak wąska, iż dwoje ludzi nie mogło się zmieścić. Ci z jednej strony musieli czekać na przejście tych z drugiej strony. W tej sytuacji żona Senderla i reb Ajzyk Dawid musieli cofnąć się na brzeg. To samo zrobili z przeciwnej strony Benjamin i Senderl. Dopiero wtedy zebrani poczęli pojedynczo przechodzić przez kładkę.

— Senderl, dlaczego tak stoimy i czekamy? — odezwał się Benjamin. Jak widać, oprzytomniał pierwszy. — Stoimy, jak ten chłopiec, którego przywiązano jednym końcem nitki za

głowę, a drugim do nogi ławki. Teraz mamy okazję uratować skórę.

— Masz rację, jakem Żyd — Senderl wypowiedział to z radością. Niczym człowiek właśnie oswobodzony spod jarzma. — Prędszej, szybciej Beniaminie, jeśli nie chcesz, abym wpadł w jej ręce. To nie jest zwykła kładka. To zasługi naszych praojców ułożyły kładkę pod nami.

Nasi bohaterowie wzięli nogi za pas i wkrótce byli już daleko, na przeciwnym krańcu miasta. Długo nie zwlekali. Zabrali swoje tłumoki i prędko wynieśli się z Tetrywki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY. HURA! CZERWONI ŻYDZI!

— Wio, wiśta, wio! — Woźnica usadowiony na koźle energicznie poganiał konia i omal nie wjechał na dwie kobiety, które stały na ulicy. Na samym środku najbardziej ruchliwej ulicy w Głupsku. Kobiety trzymały w rękach torby z żywnością. Miały w nich mięso, rzodkiew, cebulę i czosnek. Zatopione w rozmowie szep-

tały sobie na ucho różne sekrety i wymieniały plotki. Zebrało im się też na zwierzenia. Otwierały przed sobą serca. Ich wyznania słyhać było chyba na kilometr. Najazd wozu spłoszył je. Rozmowa została nagle przzerwana. Rozbiegły się. Zatrzymawszy się jednak w pewnym oddaleniu, kontynuowały rozmowę. Z jakimś szczególnym przyśpiewem starały się przekrzyczeć furmanki, dorożki i wozy załadowane drzewem, jadące gęsiego jeden za drugim. Długo nie można było przejść przez jezdnię.

— Chasiu Bejlo, przyjdiesz wieczorem do wróżki, powróżysz sobie z kart? Ja tam będę z moim chłopem. I twój tam będzie. Prosił, żebym ci to przekazała. Jest pewien, że będzie miło. Przyjdź, kochanie. Zapewniam cię, że nie pożałujesz. A więc zgoda?

— Moja gospodyni, oby ją piorun trzasnął, ma zamiar zająć mnie dziś wieczorem pracą. Zachciało jej się rozczynić ciasto na chleb. W dodatku mam też przebrać kaszę. Chyba się jednak wykręcę od tego i przyjdę. Ale niech to, moja Dobryś, zostanie między nami.

— Zaczekaj jeszcze, Chasiu Bejlo. Nic się twojej gospodyni nie stanie, jeśli obiad spóźni się o godzinę. A że chce jeść, to niech ją robaki żrą albo jakaś insza cholera. Ach, omal zapomniałabym. Nie przesiewaj zbytnio tej mąki. Ta od mąki powiedziała, że nie jest zadowolona z twoich otrębów. A ile ci zostało koszyczkowego?

— *Szejgec*⁷⁹! Łobuz! Łapcie łobuza! Co to za moda wyrywać torby? A niech go lichy porwie!

— Co się dzieje, Chasiu Bejlo? Dlaczego tak krzyczysz?

— Złodziej, moja Dobryś! O mało co nie wyrwał mi torby z zakupami. Szczęście, że się spostrzegłam.

— Zobacz, sprawdź, Chasiu Bejlo, co to za zbiegowisko? Pewnie znowu gdzieś się pali. To już dziś drugi pożar. W nocy może ich być więcej.

— Nie słychać jakoś dzwonów, moja Dobryś. Gdyby był pożar, dzwoniłoby.

⁷⁹*szejgec* — łobuz. [przypis tłumacza]

— Uwaga, idzie faktorka. Od niej się wszystkiego dowiem.

— A dokąd to spieszymy?

— Nie wiem. Obym tak nie wiedziała, co to jest ból. Może Nochema Gisia będzie wiedziała. Co to za zbiegowisko, kochanie?

— Wasze kaczki tak gdaczą, że nie słyszą, co mówią. Hudl dziś urodziła. Ona zabierze od was wszystkie kaczki. A może macie kury? Kaczki tłuste. Można powiedzieć, że nawet bardzo tłuste. A jaj nie można było dziś dostać. Nie wiecie, co to za zbiegowisko?

— Żebym to wiedziała! Podobno Czerwoni Żydzi. Słyszałam, jak ktoś krzyczał: „Czerwoni Żydzi”!

— Co, Czerwoni Żydzi przybyli do nas?

Na takie dziwo trzeba koniecznie popatrzeć. Wszyscy hurmem rzucili się w kierunku zbiegowiska.

— Hura! — Hura! Smok! Potwór! Hura, Czerwoni Żydzi!

Łobuziaki darły się wniebogłosy. Stanowili lwią część zbiegowiska. Tymi Czerwonymi

Żydami okazali się nasi bohaterowie Benjamin i Senderl. Po znanym wydarzeniu na kładce przybyli do Głupska. Tu w niespełna tydzień zyskali ogólne uznanie. Wnet znalazło się wielu szacownych Żydów, którzy znajdowali wprost rozkosz w obcowaniu z nimi. Podobnie zachwycono się pewnym szewczykiem, który w tym czasie objawił się w Głupsku jako cudotwórca.

Telca i Trajna, dwie stare kobiety, dwie przyzwoite Żydówki, które, jak wszystkim było wiadomo, co wieczór nakładały na siebie sobotnie szaty i sobotnie chusty na głowę i wychodziły na miasto, aby powitać Mesjasza, były tymi, które miały szczęście jako pierwsze spotkać naszych bohaterów. One też wprowadziły ich do miasta. Podczas tego pierwszego spotkania, nasze dwie strojnisi dowiedziały się o nich wszystkiego. Okazało się, że sam Pan Bóg ich zesłał. Telca i Trajna wymieniały między sobą spojrzenia pełne podziwu. Szturchały się wzajemnie w znaczący sposób. A co, Trajno? A co, Telco? Czy nie mówiło nam serce, że nie są

to zwyczajni ludzie? Rozpływały się z zachwytu nad nimi. Same jakby odmłodniały. Radość przepelniała ich serca, gdy słuchały opowieści o podróży. Ani na chwilę nie spuszczały oczu z zesłanych im przez samego Boga mężczyzn. Raz po raz jedna drugą szturchała. Co powiesz, Telco? A ty, Trajno? Telca cerowała im skarpetki. Trajna łatała koszule. Obydwie były szczęśliwe jak w czasach swego narzeczeństwa. I tak nasi bohaterowie znaleźli w Głupsku ludzi, którzy należycie ich docenili. Głupsk był miastem, które potrafiło poznać się na nich.

Do Głupska, i tylko do Głupska, jedźcie, dzieci moje żydowskie! Dlaczego wy, wspaniali i szlachetni Żydzi, macie się poniewierać niczym żebracy za piecem w tych waszych małych miasteczkach? Do Głupska, do stu tysięcy diabłów! Tam znajdziecie sobie równych. Tam na was czekają wasze Telce i Trajny. Te wszystkie najpocziwsze istoty. Tam można się rozwijać. Tam staniecie na nogi. Tam znajdziecie uznanie. Tam was właściwie ocenią. Tam do-

piero będziecie żyli. Do stu tysięcy diabłów!
Do Głupska!

Gdy przybędziecie do Głupska od strony Tuniejadówki, natraficie na dużą kałużę. Po jej pokonaniu macie przed sobą drugą i tuż za nią trzecią. Ta jest największa. Do niej, za przeproszeniem, spływają ścieki z tak zwanych gospodarskich domów. W ściekach zaś roi się od najrozmaitszych pływających rzeczy. Do koloru i do wyboru. Codziennie coś innego. Wszelkiego rodzaju zapachy. Całkiem łatwo można ustalić dzień tygodnia. Jeśli, dla przykładu, do kałuży spłynęły strugi żółte od piasku używanego do mycia podłóg, na ich powierzchni zaś unoszą się łuski ryb, łapki i główki kur, włosy osmalonych resztek kopytek, to jest to nieomylny znak, że mamy piątek. Nie zwlekaj tedy — bierz czym prędzej miotkę i ceberek i leć, za przeproszeniem, do łaźni. Jeśli natomiast w kałuży dojrzysz skorupy jaj, łupiny cebuli lub rzodkwi, żyły po oczyszczonych wątrobach, ogony od śledzi albo kości ze szpikiem, to wtedy, dzieci moje żydowskie, raczcie przy-

jąć moje pozdrowienie sobotnie. Niechaj wam kugel⁸⁰ wyjdzie na zdrowie. Skoro jednak zauważysz, że w rynsztokach kłębią się przypalone kawały kaszy, wyschnięte resztki ciasta, podarte szmaty i rozlatujące się wiechcie mioteł, wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia z niedzielą, pierwszym dniem nowego tygodnia. Woziwoda nie zdążył bowiem jeszcze dowieźć wody. W beczkach było jej tylko odrobinę. Ledwo starczało do umycia garnków po czulencie. Każda kałuża w zależności od dnia przybiera inne oblicze, inny kształt. Oczywiście i aromat ma każdego dnia odmienny. A jeśli, moi szanowni państwo, udało wam się ominąć i pokonać kałuże, przed wami wyrasta wzgórze śmieci. To pozostałość po spalonym domu. Na szczycie wzgórza zwykle stoi krowa z miną głupkowatego kaznodziei. Stoi sobie spokojnie i żuje. Jej zuchwy są w ciągłym ruchu. Tępymi oczyma patrzy na Żydów miotających się w dole. Ci zaś biegną jak opętani, dzierżą kije i wymachują parasolami. Krowa sapie i po swoje-

⁸⁰*kugel* — słodka potrawa żydowska. [przypis tłumacza]

mu wzdycha. Wydaje się, że te jej westchnienia dotyczą zabieganych ludzi, że zwierzę żali się na swój los. Miała pecha, nieszczęsna. Dostała się w żydowskie ręce. Za wzgórzem powinniście, moi państwo, iść prosto, wciąż prosto. Może się zdarzyć, oby do tego nie doszło, że potkniecie się o wystające kamienie niby-bruku, które leżą rozrzucone gdzie popadło, i nie daj Bóg, żeby któryś z was fiknął koziołka! Gdy przydarzy się to nieszczęście, bez namysłu należy wstać, o ile można będzie, i iść, iść, iść dalej. Skoro uniknęliście złamania nogi, trzeba maszerować tak długo, aż dojdziecie do swoistego placu. Tam znajdziecie to, co stanowi esencję, kwintesencję Głupska.

Jeśli ulicę Tetrywską wolno uważać za żołądek miasteczka, plac zasługuje w pełni na miano serca Głupska. Tu pulsuje życie tej miejscowości. Tam mieszczą się sklepy i sklepiki, tam rozmieszczone są kramy, a wśród nich kramy złodziejskie, gdzie rzemieślnicy zbywają nadwyżki: skrawki materiału, taśmy, wstążeczki, ścinki aksamitu i resztki futrzane. Tu nieustan-

nie wre i kipi. Tu, bez uroku, tłumy przewalają się, popychają tam i z powrotem. Nieraz można się tam nadziać na dyszle furmanek lub dwukonek. Lekarze twierdzą, że przy sekcji zwłok Żydów z Głupska natrafiają często na tkwiące w ciałach dyszle. Na lekarzach z Głupska jednak bez reszty polegać nie można. Lekarze grają tam o wiele ważniejszą rolę.

Tu zawsze słyhać: — Placki, gorące placki, kupujcie, Żydzi! Placki gryczane, cebula, czosnek — tak wydzierają się młodzi handlarze. Osobliwymi przyśpiewkami zachwalają swój towar. Na placu można też czasem odmówić modlitwę wieczorną. Można odprawić modlitwę z okazji nowego miesiąca, z okazji wschodzącego księżyca, aby zaraz potem pozdrowić każdego przechodnia przyjaznym powitaniem: — *Szolem Alejchem*, wujku. — Tu się zbierają tragarze opasani grubymi sznurami. To wysłużeni żołnierze. Noszą stare żołnierskie buty z cholewami i wytarte płaszcze wojskowe. Znajdziecie tu tandeciarzy, którzy zaoferują wam liche spodnie, marynarki i wszelkie inne bu-

ble. Na środku placu stoi sam pan stróż. Stoi i z apetytem wcina pajdę żydowskiego kołacza, który dostaje w sobotę, gdy już obetnie knoty w świecach. Pałaszuje i pilnie uważa, niczym pobożny, przepraszam za porównanie, Żyd wystrzegający się kiszzonego chleba w święto Pesach, aby, broń Boże, nie utracić najmniejszej choćby okruszyny. Dookoła kręcą się kieszonkowcy. Gwarzą i polują na łup. Raptem pojawia się jakaś rozchełstana dziewczyna. Ma twarz umorusaną, rozczochrane włosy. Niesamowicie się wydziera. Wyciąga rękę po jałmużnę. Zaczepia i łapie za poły przechodniów. Płacze i wyje, jakby ją kto zarzynał. Banda chuliganów z dzikim krzykiem ugania się za jakimś szaleńcem ze zmiętym kapeluszem na głowie, który śpiewa bardzo smutną piosenkę. Śpiewa ją na pół po żydowsku, na pół po polsku. Dalej widzimy młodzieńca stojącego przy bardzo dziwnej skrzynce. Żydzi zaglądają do niej przez otwór. Młodzieniec powtarza w kółko komentarz: — Tu jest Londyn, a tu sam papież w czer-

wonych spodniach jeździ na koniu. Wszyscy dokoła zdjęli przed nim czapki. Teraz, proszę państwa, macie przed sobą Napoleona ze swoimi Francuzikami. Tłuką Prusaków. Prusacy wieją jak karaluchy. Uwaga! Jedzie pani z Turczynem w karecie. Turczyn to Wielki Wezyr. W rękę trzyma bat i pogania. Konie są przerażone. Przewróciły karetę. Turczyn wypadł, solidnie się potłukł. Ona gorączkowo szuka sposobu, aby się wyrwać z rąk Turka. Dosyć! Starczy za te parę groszy!

Nieco dalej rozsiadły się na placu Żydówki z koszykami pełnymi czosnku, ogórków, cereśni, porzeczek, rajskich jabłek, ulęgałek i wszelkich innych dóbr. Z boku stoi na kurzych nóżkach pochylona ze starości budka bez drzwi i bez okien. Według relacji starych, siwizną przyproszonych Żydów, stał kiedyś przy tej budce wartownik. Zlatywali się wówczas z całego miasteczka ludzie, aby popatrzeć na tego żołnierzyka. Patrzyli i nie mogli się napatrzeć. Tuż przy budce, z której mieszkańcy Głupska byli bardzo dumni, jakby to była nie budka a za-

bytkowa twierdza, pod daszkiem ledwo przykrytym kilkoma zgniłymi deskami, przegniłą słomą i rogożą, wspartym na okrągłych, krzywych słupach, siedzi sobie Dwosia Złorzecznicą w otoczeniu wielu drewnianych koryt. Jak zwykle ma przy sobie garnek pełen żarzących się węgli. Zimą siedzi na nich jak kwoka na jajach. Potrafi tak siedzieć przez cały dzień. Co jakiś czas wyciąga go spod nóg i dmucha na węgle. Wyciąga wtedy z popiołu upieczone kartofle. O Żydach, których kiedyś król Salomon wysłał drogą morską do miasta Ofir po złoto i różne towary zagraniczne, krąży wśród ludu legenda. Głosi ona, że poważna część spośród wysłanych Żydów z najrozmaitszych powodów pozostała w odwiedzanych krainach na stałe. Z biegiem czasu otworzyli oni w Indiach sklepy oraz wielkie kompanie handlowe. Od miejscowych Niemców wzięli na kredyt towary. Przez długi czas sprzyjało im szczęście. Przyszedł jednak krach i koło fortuny się obróciło. Kupcy zbankrutowali i musieli uciekać. Wielu z nich zginęło na pustyni. Niektórym uda-

ło się szczęśliwie przekroczyć granicę. Wsiedli na okręty i popłynęli wodami Piatigniłówki, w owych czasach bowiem Piatigniłówka wpa- dała do morza. Tak sobie płynęli i płynęli i na- głe rozpętała się straszliwa burza. Fale rzucały okrętami aż do nieba. W końcu rozbiły je, a lu- dzi wyrzuciło na brzeg. Tu rozbitkowie zbudo- wali miasto i nadali mu nazwę Głupsk.

Badacze starożytności, którzy w oparciu o swo- ją wiedzę potrafią z igły zrobić widły, dorobili do tej legendy obszerny komentarz naukowy, w którym zgodnie ze swoim zwyczajem tysią- cem kruczków udowodnili, że podanie zawiera wiele prawdy. Przytaczają przy tym następują- ce argumenty: po pierwsze — domy Głupska. Są to budowle o dziwacznej konstrukcji, zro- bione na modłę sprzed tysiący lat, gdy ludzie mieszkali jeszcze w namiotach lub gnieździ- li się w jaskiniach. Wiele budowli w Głupsku wygląda naprawdę niczym groty, inne przy- pominają namioty Tatarów. Charakterystycz- ne ustawienie wskazuje, że są ze sobą skłóco- ne. Jeden do Sasa, drugi do Lasa. Jakby pro-

wadziły przekorny dialog. „Jeśli ty — powiada jeden — stoisz wsunięty w głąb, to ja tobie na złość będę wystawał. Stoisz w poprzek, to ja na odwrót. Ty chcesz mieć schodki na zewnątrz, to ja sobie wieszuję mieć drabinę. Jeśli ktoś ma do mnie interes, niech wspina się po drabinie. Nie umrze od tego. A jeśli tobie strzeliło do głowy podnieść wyżej swój połatany daszek, to mój daszek lokuję nisko. Właśnie tak, nie inaczej. Komu się nie podoba, niech zamyka oczy”. To wszystko świadczy o związku miasta z bardzo odległymi czasami. Po drugie: obyczaje mieszkańców. Spotkamy się jeszcze dziś z obyczajami, wywodzącymi się od pogan, wśród których ongiś żyli. Nieznane jest im abecadło. Nie mają pojęcia o rachunkach. Nic dziwnego więc, iż działalność gminy i wszystkich innych instytucji prowadzona jest bez zapisów, bez ksiąg. Szefowie nie składają przed nikim sprawozdań. Po trzecie: istnieją tu kasty społeczne. Ludzie są podzieleni, jak ongiś u Hindusów. Mamy tu na przykład kastę łapucapników, czyli zdzierców. Jest to śmie-

tanka, elita społeczna, twardą ręką sprawująca władzę. Jest kasta błatniaków⁸¹ — adwokatów. Stoją oni zwartym murem za zdziercami. Bronią ich w każdej potrzebie przed przeciwnikiem. Otrzymują za to od nich określone wynagrodzenie pieniężne i dodatkowy przydział mięsa. Następna kasta to krętacze. Oszuści. Mogą wszystkich wyprowadzić w pole. Sami zaś potrafią wykręcić się z każdej afery. Dzielą się na złośliwych bankrutów, na świeckich ludzi światowych, mających bardzo wiele do powiedzenia w sprawach handlu oraz na duchownych dwulicowców, którzy mają wiele do powiedzenia w sprawach wiary. Poza tym mamy tam kastę *GTNŻ*, czyli Głupio Tchórzliwych Niemych Żebraków — biedny, prosty lud, który porażony strachem podporządkowany jest wyżej wymienionym kastom. Po czwarte wreszcie: moneta. Chodzi tu o monetę, którą kiedyś wydobyto przy kopaniu grobli. Z jednej strony była bardzo starta. Ledwo było wi-

⁸¹*błatniak* (z ros. *блатной*: karczemny, szemrany) — szubrawiec, aferzysta.
[przypis edytorski]

dać zarys kawałka jakiegoś fartucha przymocowanego do kija. W dolnej części coś podobnego do koryta, z którego wystawały fragmenty głów. Na odwrotnej stronie moneta była niemal gładka. Przy wnikliwej obserwacji można jednak było rozpoznać staromodnym pięknym pismem wytłoczone litery *J.A.SZ. Ł.E.G. WE.A. NAF*. Uczni łamali sobie głowy nad tym napisem. Przypisywali mu różne znaczenie, każdy według swojej teorii. Jedni wysuwali hipotezę, że *J* i *G* na początku i na końcu nie są wcale literami. To podobno jedynie fragmenty ornamentacji, która z biegiem lat starła się. Dlatego napis brzmi *A.SZŁ*, co oznacza drzewo, a *WEANAF* oznacza *WE* i *ANAF* — gałąź. W ten sposób otrzymujemy wyjaśnienie, skąd się wziął kij z fartuchem. Inni dla odmiany wykładali szyfr całkiem inaczej. Spór uczonych był głośny. Poruszył niemal cały świat. Trwałby zapewne długo, gdyby nie pojawił się ktoś, kto miał tak zwane otwarte oczy. Odczytał napis zakładając, że jest on złożony z pierwszych liter poszczególnych wyra-

zów, a mianowicie: *J* to *Jehudej* — czyli Żydzi, *A* czyli *Afir*, *SZ* czyli *Szebau*, „którzy przybyli”, *Ł* czyli *łekan*, co znaczy „tu”, *G* czyli Głupsk, to znaczy „do Głupska”. *We*, czyli *we nitjaszwu*, oznacza „osiedlili się”, *A* czyli *ał* oznacza „nad”, *N* czyli *nahar*, oznacza rzekę, *F*, jeśli z kropką, to *P* czyli Piatigniłówka, co oznacza naszą rzekę Piatigniłówkę. Kij z fartuchem i koryto z głowami to nic innego, jak tylko okręt żaglowy z ludźmi. Ów uczony napisał na ten temat dość grubą księgę. Nie omieszkał też zwrócić się z apelem do czytelników, aby przystąpili do oczyszczania rzeki. Znajdą tam, zapewniał, jeszcze wiele antycznych przedmiotów, które rzucą światło na przeszłość Żydów z Głupska. Miejscowi Żydzi jednak nie palą się do pracy przy oczyszczaniu rzeki. Twierdzą, że to, co zostało dawno, w zamierzchłych czasach dokonane, powinno pozostać nietknięte. Ludzkie oko nie śmie tego oglądać. W samym mieście możemy naliczyć około trzydziestu do czterdziestu wielkich kałuż, wliczając w to oczywi-

ście bajora. Wszystkie łączą się poprzez kanały z korytem Piatignilówki. W pewnych okresach, zwłaszcza przed Wielkanocą, kałuże występują z brzegów i zalewają ulice rzadkim błotem. Wtedy nawet wysocy mogą sobie czapki na głowie zapaćkać. W nocy Głupsk oświetla samotna latarnia, której pilnuje notabene aż czterech wartowników. Mimo to można sobie połamać nogi i ręce. Kradzieże, bez względu na wartowników, należą tam do częstych zjawisk. Jaki z tego wniosek? Przed niczym nie da się zabezpieczyć. To, co komu sądzone, spełni się. Człowiek tego nie zmieni. Na nic tu jego mądrość, dlatego też, powiada Beniamin, należy zamknąć oczy i zdać się na łaskę Boga. Sądzę, że On powierzy nas opiece aniołów. Nie ma rzeczy bez sensu. Najlepszy dowód, powiada Beniamin, to fakt, że zabezpieczyłem na sto procent tałas i tefilin. Położyłem go w bożnicy na półce. Czy może być lepsze i pewniejsze miejsce?

Wszakże gdy Bóg nie raczył upilnować, ktoś je zwędził razem z innymi rzeczami.

ROZDZIAŁ JEDENASTY. DZIWY I CUDY NAD PIATIGNIŁÓWKĄ

Kiedy nasi bohaterowie ujrzeli Piatigniłówkę, ogarnęło ich zdumienie połączone z przerażeniem. Takiej rzeki jeszcze w życiu nie widzieli. Senderl orzekł, że jest to chyba największa rzeka świata. I nie mogło być inaczej. Przechodziła wszelkie wyobrażenia. Nie byle jaka rzeka, taka rzeka! Ze sto razy chyba większa od tuniejadowskiej. Senderl był człowiekiem prostym, bez specjalnego polotu. Poza Tuniejadówkę nosa nie wystawiał. W piśmie nie był uczony. Nic też dziwnego, że wszystko, co choć trochę różniło się od Tuniejadówki, wydawało mu się czymś niezwykłym, zupełnie nowym. Był święcie przekonany, iż na tych dopiero co widzianych nowinkach świat się kończy. Benjamin miał obszerniejsze wykształcenie. Liźnął, bądź co bądź, trochę wiedzy ze swoich książek. Jako tako poruszał się w siedmiu podstawowych dziedzinach nauki. Miał ogólne pojęcie o ziemskim raju, o świecie. Znał prace

opisujące dziwne i niezwykle stworzenia żyjące w Indiach. Przeczytał rozmaite lektury. Mimo to przy każdym zetknięciu z jakimś nowym zjawiskiem ogarniało go zdumienie. Serce wówczas biło mu żywiej. Starał się tego nie okazywać. Uśmiechał się tylko. Miało to znaczyć: „Ot, głupstwo. Zero w porównaniu z tym, co jeszcze jest gdzieś tam w świecie”. Przekonywał Senderla, że Piatigniówka to betka, to za przeproszeniem, po prostu śmieć w porównaniu z Jordanem. Pewnie, że cztery razy większy jest od niej Jordan. Wody nie starczyłoby w Piatigniówce, gdyby Szor Habor chciał choćby raz łyknąć, a jeśli chodzi o nazwę Jordan, to, nomen omen, Jordan oznacza przesadę, mnóstwo. Krótko mówiąc — Jordan.

— Wiesz co, Senderl, wpadło mi do głowy — powiedział Beniamin, stojąc w zamyśleniu nad brzegiem Piatigniówki. — Aby w dalszą drogę popłynąć rzeką.

— Bój się Boga! — Senderl był przerażony. — Weź pod uwagę, że nasza tuniejadowska rzeka pochłania co roku ofiary. Cóż dopiero ta-

ka rzeka, jak ta! Ileż ona może pochłonać? Miej litość nad nami. Zlituj się nad twoją żoną, nad twoimi dziećmi.

— Trzeba mieć wiarę, trzeba ufać, mój Senderl!

Ufność to żydowska specjalność. Ufność, jedynie ufność pomogła naszemu praojcu Jakubowi przekroczyć Jordan. A dokonał tego, mając w ręku jedynie laskę. Ufając, Żydzi zakładają wielkie sklepy. Gdzie tylko spojrzysz, sama ufność. Nawet schody i sufity, nawet domy opierają się na ufności. Trzymają się bowiem na słowo honoru.

— Dobrze, ale dlaczego upierasz się przy wodnym szlaku? Można przecież podróżować również lądem.

— Wiele racji przemawia za rzeką. Po pierwsze — tłumaczył Beniamin — będzie bliżej i szybciej. A my powinniśmy jak najszybciej dotrzeć na miejsce. Im prędzej, tym lepiej. A dlaczego? To już moja sprawa. Moja w tym głowa. Prześladowuje mnie jedna myśl. Uwiera i dręczy. Gnieździ się w mojej głowie. Ciałem i duszą

pragnę być już tam. Gdyby to było możliwe, poleciałbym tam niczym ptak na skrzydłach. Po drugie: gdy Beniamin z Tudeli⁸² w swoim czasie puścił się w podróż, to najpierw popłynął rzeką Ebro. Píše o tym wyraźnie w swojej książce. Skoro więc on przed wiekami wyruszył w podróż rzeką, nie lądem, to widocznie tak właśnie ma być. Nie inaczej. A on wiedział, co robi. Niewątpliwie był mądrzejszy od nas wszystkich. Możesz mi wierzyć. Ów Beniamin sprzed wieków to nasz poprzednik. Powinniśmy dlatego naśladować go i nie zadawać zbytecznych pytań. A skoro tak się rzecz ma, to wszystko jasne. Jakem Żyd, jakem Beniamin, gdyby nawet ów reb Beniamin nie popłynął rzeką, a poleciał na pogrzebacz, to też nie powinniśmy długo medytować. Trzeba by wtedy natychmiast wziąć pogrzebacz i też pofrunąć. A po trzecie — Beniamin w tym miejscu zrobił pauzę — nie zaszkodzi przyzwycza-

⁸²*Beniamin z Tudeli* (XII w.) — syn rabina z Saragossy, w latach ok. 1160–1173 podróżował przez południową Europę i Azję Mniejszą; pozostawił po sobie opis miejscowości zamieszkałych przez Żydów w Palestynie, Egipcie, Syrii, Persji i na południu Europy. [przypis edytorski]

ić się do rzeki, nim przyjdzie żeglować nam po oceanie. Gotów jestem przysiąc, że nie zaszkodziłoby, przed ostatecznym pożegnaniem się z Głupskiem, zakosztować przejażdżki po rzece dla samej tylko przyjemności. Tam, tam, widzisz, stoi ktoś przy łódce. Podejźmy do niego. Zapłacimy mu i nas przewiezie.

W kilka chwil po tym nasi bohaterowie, pełni optymizmu, siedzieli już w łódce. Płynęli po rzece. Z początku to nawet oblatywał ich strach. Senderl odczuwał zawroty głowy. Po plecach przechodziły mu dreszcze. Miał uczucie, że łódź się wywróci. Widział już siebie, jak wpada w odmęty rzeki. Pomyślał, oto nadchodzi kres jego życia. Jego żona, Zelda⁸³, już na zawsze pozostanie wdową. Wkrótce jednak poczuł się trochę lepiej.

Gdy wyszli na brzeg, Beniamin pocieszał przyjaciela.

⁸³*Senderl odczuwał zawroty głowy (...) Pomyślał, oto nadchodzi kres jego życia. Jego żona, Zelda, już na zawsze pozostanie wdową* — Zelda jest żoną Beniamina, zatem albo mamy do czynienia z pomyłką, albo autor chciał w ten sposób zasugerować czytelnikowi, że Beniamin podziela strach przyjaciela. [przypis edytorski]

— Nic nie szkodzi, Senderl. Nie przejmuj się. To nic, że ci się trochę kręci we łbie. Nic, że najlepiej się nie czujesz. To zwykła morska choroba. Kto po raz pierwszy znajduje się na morzu, ten obowiązkowo musi ją przejść. Następnym razem wszystko będzie dobrze. Przekonasz się.

Od tej chwili nasi bohaterowie coraz częściej wypuszczali się na rzekę i znajdowali w tym zajęciu przyjemność. Poczuli się pewniej. Przepłynąć morze wydawało im się dziecinną zabawką.

Za pośrednictwem Senderla Beniamin wdał się w rozmowę z właścicielem łódki. Zasypał go pytaniami. Przytoczę kilka z nich.

— Zapytaj go, Senderl, spytaj, proszę cię, tego kapitana, ile stąd może być kilometrów do morza albo czy tu są w pobliżu jakieś wyspy? Co za ludzie tam mieszkają? Czy są wśród nich Żydzi? Komu płacą podatki? Czy mają jakieś pojęcie o diasporze? Albo z innej beczki: zapytaj, Senderl, dla samej jeno ciekawości, tego nieobrzezańca, czy wie, co to jest góra Gisbon.

Dowiedz się, czy słyszał kiedykolwiek i cośkolwiek o dziesięciu zaginionych plemionach? Wszystko możliwe. Może właśnie słyszał?

O takie właśnie rzeczy dopytywał się Benjamin. Jednak zasób słownictwa języka gojów, który Senderl przyswoił sobie nieco dzięki wspólnym wyprawom z żoną na targ, był zbyt skromny. Był zupełnie ubogi, gdy w grę wchodziły sprawy wzniosłe. Potargować się o cebulę, jajka i kartofle, to i owszem, umiał. Dyskusja z „kapitanem” o problemach naukowych przekraczała wszak jego możliwości. Żal i litość brały, gdy Senderl podczas takiej rozmowy męczył się i pocił. Mówił rękami i nogami. Była to ciężka praca. Ociekał potem. Zaiste, Pan Bóg powinien był się nad nim zlitować. „Kapitan” zaś to spluwał, to odburkiwał, to znów patrzył na niego złym okiem. Tak jakoś koso. Dla odmiany Benjamin nie przestawał mu wiercić dziury w brzuchu. Szturczał go nieprzerwanie i wpatrywał się w jego usta.

— *Wyn czerwony Żydki, wyn pytaje* — tak mówił Senderl wskazując na Beniamina.

— *Iz czerwonych Żydków ja znam Lejbku, Szmulku, bohaci Żydki* — odpowiadał za każdym razem nasz kapitan.

— *Nie Lejbku, ni, ni. Wyn czerwony Żydki, pyta je, tamoczka, jakby to powiedzieć, no tamoczka*, koło pagórka Gisbon.

— Gisbona, Żydka Gisbona?

— Powiedz mu, Senderl — domagał się Benjamin — koniecznie powiedz, że chodzi tu o górę. Opisz mu ją. Tak, jak tylko potrafisz.

Senderl splótł obydwie ręce i wyciągnął ramiona. Chciał w ten sposób wyobrazić górę. Pomagał sobie krzykiem: — Góra, hen, hen, wysoko!

— Tfu! — splunął nieobrzezaniec i wyładowując złość na Senderlu, posłał go do wszystkich diabłów.

O swoich rejsach po Piatigniówce Benjamin opowiada cuda, niestworzone wprost rzeczy.

Pewnego razu płynąc po rzece dostrzegł na samym środku nurtu dość spore skupisko ro-

ślinności. Zielen była tak wspaniała, że nie mógł oderwać od niej oczu. Pomyślał, iż to porosła trawą i wonnym zieleń wyspa. Przełożył nogę za burtę i zamierzał już wyskoczyć z łódki. W tym momencie „kapitan” chwycił go z tyłu ze wszystkich sił i pociągnął z powrotem. Benjamin nie rozumiał, co się stało. Słyszał tylko, jak wokół łódki coś się z szumem kołuje. Odniósł wrażenie, że łódka się z czymś mocije. Uczuł, iż z wielkim trudem posuwa się naprzód. Gdy wrócił do siebie, dowiedział się od „kapitana”, że był w poważnym niebezpieczeństwie. Niewiele brakowało, a utonąłby w tej urokliwej zieleni. Nie jest to bowiem wyspa, jak sądził, tylko zarośla, kwiecie, którym Piatigniówka zakwita każdego roku.

— Ja jednak — pisze Benjamin — nie dałem sobie wmówić, że to tylko wodne kwiecie. Prawda, pachniało. Póki żyję, nie słyszałem, ani nie przeczytałem w książkach, aby woda kwitła. Gdyby tak było, to by na wodzie wschodziły również jakieś owoce i należałoby wtedy odmawiać błogosławieństwo na chwa-

łę Stwórcy owoców wody. Takiego błogosławieństwa, jak wiadomo, nie ma. Jestem zdania, że chodzi tu o straszną, niesamowitą rybę morską, którą zowią chlejna. Księga *Cel Olam* wspomina o niej tymi słowy: „Przeraźliwie potężna ryba, która zwykła pokrywać się trawą i ziemią. Wygląda wtedy jak prawdziwa wyspa. Wprowadza w błąd żeglarzy, którzy biorą ją też często za górę. Lądują na niej i rozbijają obóz. Rozpalają ognisko, gotują strawę. Czując ciepło ognia ryba zanurza się w wodę, pociągając za sobą wszystkich, którzy na niej znaleźli przystań”.

Stanowi to niezbity argument dla tych mędrców, którzy twierdzą, że mieszkańcy Głupska wywodzą się z Indii. Kiedy ich przodkowie w zamierzonych czasach wpłynęli na wody Piatigniówki, przywlekli z sobą chlejnę. Jak wiadomo, żyje ona w Oceanie Indyjskim i znamioną jej cechą jest to, że podąża za statkami. Gdy pewnego dnia Benjamin zajrzał w toń rzeki, spostrzegł na jej dnie dziwne istoty. Przypominały one dziewczęta.

— Jeszcze dawno, dawno temu — opowiada Benjamin — przeczytałem, że w wodzie żyją ludzie. Autor *Cel Olam*, naoczny świadek, tak pisze: „Głowa, ciało, twarz i piersi zupełnie jak u dziewcząt. Mają piękny głos. Zowią się syreny”. Od zacnych i starych ludzi, których prawdomówność nie podlega dyskusji, słyszałem, że na własne oczy widzieli takie syreny u komediantów. Po spektaklu pokazywano je zazwyczaj ludziom za parę marnych groszy. Szczęśliwy jestem, że dziś miałem sposobność sam je obejrzeć. Natychmiast zwróciłem uwagę temu nieobrzezańcowi. Ten zaś wyciągnął rękę w stronę zgromadzonych na brzegu praczek. Faktycznie, kobiety prały bieliznę. Ja mu zwracam uwagę na to, co jest pod wodą, a on uparcie pokazuje mi to, co na brzegu. A że nie mogliśmy się porozumieć w języku zrozumiałym dla nas obu, nic dziwnego, że on nie zdawał sobie sprawy z tego, o czym ja mówię, ja zaś z tego, co on mi tłumaczył. Nie mogłem z nim dojść do ładu.

Nieopodal brzegu, w miejscu położonym najbliżej miasta, zauważył Beniamin pewne miejsce na rzece, gdzie woda była dziwnie gęsta. Była jakby zastygła. Woziwoda napełniał tu swoją beczkę i objeżdżał potem gospodarskie domy. Przedtem jednak gęstą ciecz rozwadniał w zwykłej wodzie z beczki. W tej dopiero wodzie mieszkańcy Głupska gotowali potrawy.

— Ja sam — powiada Beniamin — jadłem potrawy gotowane w tej wodzie. Wierzcie mi, obym tak zajadał się mięsem Lewiata-
na, nadzwyczajny miała smak. Zwykła sztuka mięsa w niej gotowana staje się królewską potrawą. Potrawą nad potrawami. Nabrałem do kieszeni mnóstwo kawałków zestalonej wody i poleciłem Senderlowi zrobić z nich paczkę. W naszej dalekiej wyprawie po morzach i pustyniach mogłaby się przydać.

Pewnego popołudnia nasi bohaterowie udali się na spacer za miasto. Byli w radosnym nastroju. Śmiali się, dowcipkowali. Wymieniali radosne spojrzenia. Cieszyli się pełnią szczę-

ścia. Wyglądali na parę zakochanych, na małżeństwo w miodowym miesiącu. Beztrosko spacerowali po zielonej łące. Delektowali się rozmową. A co było powodem ich wielkiej radości? W samej rzeczy, co mogło być jej źródłem? Czym wytłumaczyć, że nagle poczeli tańczyć i śpiewać? Dlaczego stroili przedziwne miny? Jakby zupełnie oszaleli. A rzecz, szanowni moi państwo, miała się tak. Szczerze, z ręką na sercu, powiem wam. Powzięli wreszcie decyzję. Postanowili opuścić Głupsk. Już jutro poze-
glują do dalekich krajów. Tam, dokąd zamierzali dotrzeć. I oto w chwili, gdy rozradowani bohaterowie spacerowali sobie w najlepsze, nadjechała furmanka. Siedziało na niej dwóch Żydów. Jeden trzymał bat, którym poganiał konie, zaś drugi siedział z boku, nieco pochyłony. Czapkę miał nasadzoną na bakier. W ustach trzymał słomkę. Znak nieomylny, że żydowska łepetyna pracuje. Kombinuje. Niesamowicie przy tym się wiercił.

Żydzi z wozu obejrzelili naszych bohaterów od stóp do głów, po czym wdali się z nimi

w pogawędkę. Naturalnie pierwsze pytanie brzmiało: — Skąd to, panowie Żydzi? — Następne zaś: — A nazywać, to jak się nazywacie? — A potem pozostała lista pytań, jak to zwykle bywa u Żydów przy spotkaniach. Nasi bohaterowie tylko na to czekali. Rozwarli usta. Zaczęli opowiadać. Niczego nie ukrywali. Co mieli na sercu, to i na języku. Żydzi zlustrowali ich spojrzeniami. Na ich twarzach pojawił się dziwny jakiś uśmieszek. Coś tam między sobą poszeptali. Ten z przekrzywioną czapką zauważył: — Nie szkodzi. Ujdzie. W najgorszym wypadku jeszcze parę złotych.

— Wiecie wy co? — odezwali się wreszcie Żydzi z furmanki. — Nasze miasto również zasłużyło na to, aby gościć w swoich murach takich wspaniałych jegomościów, jak wy. Zróbcie nam honor i wsiądźcie do naszego wozu. Bardzo was o to prosimy. Wybaczcie nam śmiałość, ale wsiadajcie szybko. Bez zbędnych ceregieli. Ludzie w naszym mieście przyjmą was z otwartymi ramionami. Jesteśmy tego pewni. Nie poskapią wam jedzenia. Nie pożałują picia.

Dadzą wam wszystko, czym chata tylko bogata.

— Wierzcie mi, że chętnie spełnilibyśmy waszą prośbę — odpowiedział Beniamin — ale postanowiliśmy nieodwołalnie jutro wyruszyć w dalszą podróż rzeką.

— Nie miejcie nam za złe — oponowali Żydzi — jeśli powiemy, że pleciecie bzdury. Istne banialuki. Cóż to za rzeka, ta Piatigniówka. Toż to, za przeproszeniem, dołek kloaczny. Prawdziwe paskudztwo. Bagno śmierdzące. U nas płynie Dniepr. Płynie prosto do morza. Od nas, jeśli Bóg da, potraficie szybko i niezawodnie dotrzeć do miejsca, w którym zaznawać będziecie pokoju. Nie upierajcie się. Na Boga, wsiadajcie i jazda.

— Co ty na to, Senderl? Może uczynić za-
dość prośbie tych Żydów i pojechać z nimi?

— Też mi zmartwienie. Skoro chcesz je-
chać, Beniaminie, to jedziemy.

Nie namyślając się już dłużej wsiedli na fu-
rę. Byli usatysfakcjonowani, bo nie lada za-
szczyt ich spotkał. Byli zaproszeni w gości. Wy-

obrażnia podsuwała im obrazy sukcesów, jakie wkrótce odniosą. W wesołym nastroju mijał czas. Żydzi okazywali im troskę. Pilnowali jak źrenicy oka. O czymś podobnym nie mogli nawet marzyć.

Następnego dnia wieczorem przybyli do Dnieprowca. Zajechali na stację, gdzie Żydzi z wozu zamówili dla nich kolację.

— Na dziś starczy — powiedzieli. — Jesteście zmęczeni. Z pewnością chcecie spać. Dlatego słuszne będzie, jeśli pójdziecie wcześniej do łóżka. Jutro, jeśli Bóg da, będziecie rześcy, zdrowi i silni. Wtedy zaprowadzimy was do kilku poważnych i szacownych ludzi. Wstawimy się za wami dobrym słowem. Jeśli zgodzą się przyjąć was, to wszystko pójdzie gładko. Wszystkie wasze pragnienia i potrzeby zostaną zaspokojone. Będziecie mogli od razu wyruszyć w dalszą drogę. Dobranoc!

— Dobrej nocy! Dobrego roku! — odpowiedzieli nasi bohaterowie. Odmówili wieczorną modlitwę, pogłaskali się po brzuchach,

ziewnęli, poczochrali jak należy i w znakomitym nastroju poszli spać.

ROZDZIAŁ DWUNASTY. JAK NASZYCH BOHATERÓW ZAPROWADZONO DO ŁAŻNI

— Gwałtu! Trzeba się spowiadać! Trzeba odmówić modlitwę przedśmiertną! — strasznym głosem krzyczał Senderl. Wrzask obudził Beniamina. Na pół żywy zerwał się z posłania. Szybko umył ręce i podbiegł do Senderla. Na dworze wstawał tymczasem szary świt. Dookoła panowała cisza, w całym domu rozlegało się jedynie chrapanie śpiących. A każdy chrapał inaczej, po swojemu. Jeden głosem bandury⁸⁴, drugi melodią trąbki. Jeden chrapał cichuteńko, krótkimi, przerywanymi dźwiękami. Inny znów w tonacji wysokiej, rozciągliwie. Sięgnąwszy trzeciej oktawy, kończył ją nagłym i gniewnym zakrętasem, jak człowiek, który po dłuższym wywodzie nagle stawia bardzo trudne py-

⁸⁴*bandura* — ukr. instrument ludowy o wielu strunach. [przypis edytorski]

tania. Policzki nadymały się, raz po raz nabierały i wypuszczały powietrze. W tym koncercie nosy pracowały na potęgę. Przygrywały i wtórowały z niezwykłym zapalem pluskwom dniewprowieckim, które w tym czasie niemiłosiernie cięły śpiących. Gryzły i piły z nich krew. Żydowską krew. Przez długi okres Dnieprowiec wypasał swoje pluskwy, swoich krwio pijców w pewnym okropnym, samotnie stojącym, osławionym domu zajezdnym. Ze wszystkich zakątków miasta ciągnęły do tego zajazdu pluskwy. Przybywały, aby nałykać się, napić się żydowskiej krwi. Każdy Żyd przybywający do Dnieprowca z góry był przygotowany na to, że przyjdzie mu złożyć daninę krwi. Bez tego nie mogło się obejść. To był przewidywany i w kalkulowany do rachunku napiwek.

— A więc gryź, ugryź wreszcie, pluskwo! A smrodź sobie! A pij, a wypij w końcu moją krew. Wypisz te twoje krwawe znaki i odczep się, wynoś do wszystkich diabłów!

— Czego tak ryczysz, Senderl? — zapytał Beniamin, podchodząc do łóżka przyjaciela. —

Z pewnością ugryzła cię pluskwa. Strach, ile ich się tu namnożyło. Dopiero com zasnął.

— Uciekajmy stąd i to szybko! — krzyczał Senderl. Był prawie nieprzytomny.

— Bój się Boga, Senderl! Co ty wygadujesz? Co to za problem? Po co ten gwałt? Że pluskwa cię ugryzła? Na to ona i pluskwa⁸⁵. Ty zaś przecież człowiek.

Przez kilka chwil Senderl patrzył na Beniamina wzrokiem pełnym przerażenia. Wreszcie przetarł oczy, westchnął i rzekł:

— Miałem straszny sen. Oby się na tym tylko skończyło.

— Co też pleciesz! Mało może się człowiekowi przyśnić? Mnie na przykład śniło się dziś, że nawiedził mnie smok. Podchodzi ci ta bestia do mnie, patrzy na mnie, przeszywa wzrokiem i powiada: „Czy pan jest owym reb Beniaminem z Tuniejadówki? Proszę bardzo, pan pozwoli ze mną. Pójdziemy tam, gdzie Aleksander Macedoński przebywa ze swoim wojskiem. Pragnie on cię poznać. Usycha po prostu z tę-

⁸⁵*Na to ona i pluskwa* — po to ona właśnie jest pluskwą. [przypis edytorski]

sknoty”. No i ruszamy. Smok pędzi z przodu. Ja za nim. „Leci pan, bez uroku, jak strzała z łuku. Nie mogę pana dogonić”. Głos ten rozlega się za moimi plecami. Odwracam się i kogo widzę? Aleksandra Macedońskiego. Łapię go za rękę. Krzyczę: „Królu mój! Panie mój!”. Ściskam jego dłoń, ściskam i nie puszczam. Wtem straszliwy odór uderza mnie w nos. Czuję, że za chwilę zapadnę w omdlenie. Zrywam się ze snu. Patrzę, a tu w ręku trzymam zgniecioną pluskwę. Tfu! Spluń więc, kochany mój Senderl, trzy razy i zapomnij o swoim śnie. Ale właśnie, co ci się właściwie śniło?

— Tfu! Tfu, tfu! — w swojej naiwności Senderl trzy razy splunął. — Miałem taki sen: idę sobie po ulicy. Tak sobie, bez celu. Idę i idę i już jestem bardzo daleko. Nagle ktoś napada na mnie z tyłu. Łapie mnie i pakuje do worka. Nosi mnie w tym worku i nosi, wreszcie gdzieś zaniósł. Czuję, że ktoś zaczyna rozwiązywać worek. Raptem dostaję po twarzy. Ale jak! Policzek był tęgi. Tak tęgi, że dwa zęby z miej-

sca mi wyleciały. „To na razie, zadatek — sły-
szę. — Resztę otrzymasz później”. Jeden rzut
oka i wystarczy: przede mną stoi moja żona.
Ubrana w spodnie. Rozsadza ją złość. Oczy jej
płoną. Z ust płynie piana. „Poczekaj chwilecz-
kę, ty gagatku mój. Zaraz wezmę — powiada
ze złośliwym uśmiechem — pogrzebacz i po-
każę ci, gdzie raki zimują”. Sięga po pogrze-
bacz, a ja w tym momencie biorę nogi za pas
i zmykam. Uciekam co koń wyskoczy. Pędzę
i pędzę, wreszcie dopadam do jakiejś karczmy.
W karczmie jest ciemno i zimno. Nie ma ży-
wej duszy. Kładę się w kącie, zamykam oczy
i natychmiast zasypiam. Ledwom usnął, a tu
zjawia się mój dziadek, oby dusza jego w raju
była, reb Senderl. Jest smutny. Oczy ma pełne
łez. Powiada do mnie: „Senderl, dziecko mo-
je, nie śpij. Jak ci Bóg miły, nie śpij. Wstań,
Senderl, i uciekaj stąd. Uciekaj, gdzie cię tylko
oczy poniosą. Jesteś w wielkim niebezpieczeń-
stwie”.

Chcę wstać, ale nie mogę się ruszyć z miej-
sca. Jakby mnie przykleiło. Łapię się za głowę

i natrafiam na czepek niewieści. A to ci heca! Wcale nie jestem Senderlem. Jestem, za przeproszeniem, kobietą. Ani śladu brody. Noszę coś w rodzaju spódnicy. A brzuch, o rety, mój brzuch, oby Żydzi tego nie zaznali, piekielnie mnie boli. Słyszę, jak ktoś mówi, że nic nie szkodzi. Przy pierwszym porodzie zwykle tak bywa. Ciężko, boleśnie. „Oj człowieku, człowieku — krzyczę jednym tchem. — To jest ponad moje siły. Nie mogę. Zaraz zemdleję!”. „Dać mu pięścią w potylicę. To świetne lekarstwo. To go ocuci” — powiada ktoś i natychmiast wymierza mi parę ciosów. „Masz — powiada — za wczoraj, za dziś i za jutro”. Zrobił swoje i znika. Ja zaś dalej leżę w bólach. Leżę i leżę, aż nagle zrywam się na nogi. Podbiegam do drzwi, a te są zamknięte. Stukam raz, stukam dwa, trzy razy. Nic z tego. Wtem drzwi same się otwierają. Wchodzę, a tu ci łapie mnie jakiś zbój i uprowadza do swojej jaskini, pełnej innych zbójów. Widzę, jak wyciągają nóż rzeźniczy. Chcą mnie zarznąć. Czuję już ostrze na gardle i zaczynam krzyczeć. „Gwałtu! Re-

ty! Pozwólcie mi przynajmniej odmówić modlitwę przedśmiertną”. Oto, Beniaminie, cały mój sen. Oby tylko na dobre się obrócił.

— Spluń jeszcze trzy razy — powiedział Beniamin. — Wybij go sobie z głowy. Zresztą jest już dzień. Wstań i odmów kilka psalmów.

Senderl westchnął. Szybko zerwał się z łóżka, umył ręce, wdział chałat i wyjął *Psalterz* w tłumaczeniu na język żydowski. Otworzył go na stronicy z dziesiątym rozdziałem *Psalmów*. W tym miejscu przerwał uprzednio. Smutnym przyśpiewem zaczął nucić:

Czemu, o Panie, stoisz z daleka,
Ukrywasz się w czasach niedoli?

Jego śpiew stawał się coraz bardziej smutny i coraz bardziej wzruszający przy następnych wersach:

Czatuje za węglem zagród,
Skrycie zabija niewinnego,
Oczy jego wypatrują nieszczęśnika,
Czyha w kryjówce, jak lew w gęstwinie

Czyha, aby porwać ubogiego;
Porywa ubogiego, zarzucając sieć swą.

Gdy Senderl skończył, dzień już był w pełni. Wszyscy już wstali. W izbie na stole stał duży, ogromniasty samowar. Kłęby pary z niego buchały. Ludzie pili herbatę. Również Benjamin i Senderl otrzymali po szklance. Izba, która w nocy była sypialnią, potem herbaciarnią, obecnie zamieniła się w bożniczkę. Ludzie odsłoniли nagie żydowskie ramiona. Cała parada ramion. Ogorzałe, gładkie, chude, tłuste. Czarne, białe, ciemne. Ręce wszelkich barw i kształtów. Żydzi owinęli się w tałesy, przywiązali tefilin. Zaintonowali modlitwę. Nasi znajomi, niedawno poznani Żydzi, modlili się szczególnie żarliwie. Tak, jak przystało na ludzi, którzy cierpią. Na ludzi, których ciężko doświadczył los. Ostro spierali się Panem Bogiem. Otwierali przed nim swoje serca. W uniesieniu wołali: — Ojczulku! Tato! — A ile było przy tym wygibasów, jakie ceregiele odstawiali! Nikt się do nich nie umywał. Po modlitwie wypili po kieliszku

wódki. Najpierw mały łyczek tytułem próby. Na twarzach pojawiły się niewielkie błyszczące czerwone wypieki, podobne do czerwonych porzeczek. Następnie zawołali: — *Lechaim*⁸⁶! Zaraz też dodali: — Oby Bóg zachował litość dla wszystkich Żydów — mówiąc to, wytrzeszczyli oczy, westchnęli cicho i wleli w gardło pozostałą zawartość kieliszka. Od razu poznać, że niezwyčajni to byli Żydzi. Wszystko wskazywało na to, że to byli Żydzi pobożni, uczciwi, godni szacunku.

Tymczasem jeden z nich wybrał się do miasta. Bawił tam kilka godzin. Po jego powrocie inny przez dłuższą chwilę starał się coś wyczytać z wyrazu twarzy wysłannika. Wszystko widać przebiegło pomyślnie. Lica promieniały. Obaj byli szczęśliwi. Polecili podać do stołu. Przedtem poszli obmyć się. Zanim wzięli do rąk kwartę wody, jak przystało na pobożnych Żydów, obejrzel ją i sprawdzili. Zaprosili też naszych bohaterów do stołu na małą przekąskę. Nie kryli swego zadowolenia. Pochwalili

⁸⁶*Lachaim!* — toast przy wznoszeniu kielicha. [przypis tłumacza]

gospodynię za przysmaki, prawili jej komplementy. Wdali się potem w dłuższe rozważanie na temat narodu żydowskiego. Doszli do wniosku, że najwyższy już czas, aby lud Izraela zaznał wolności. Dlaczego taki naród, wspinały naród, ma dalej znosić niewolę? Licytowali się w pochwałach żydowskiego społeczeństwa. Wynosili pod niebiosa jego mądrość i talenty. Czego to Żydzi nie potrafią. Wszystkie wynalazki świata, w tym telegraf, kolej żelazna i wiele innych odkryć, są dziełem żydowskich umysłów. Ale to jeszcze nic w porównaniu z iskrą żydowską! Iskra żydowska, ten ogień wewnętrzny stanowiący esencję żydowskiej duszy, jest najważniejszym darem narodu. Wsieśli potem na bezbożników i na tych współczesnych, jakby to powiedzieć, uczonych. Rzucali klątwy na ich prochy i potomstwo. Nie zostawili na nich suchej nitki. Potępili szkoły, w których uczą zakazanych ze względów religijnych przedmiotów, i to bez nakrycia głowy. Wkrótce dojdzie do tego, twierdzili, że za na-

uczanie jednego rozdziału *Miszny*⁸⁷ trzeba będzie płacić rubla, zaś za napisanie głupiego podania nawet czerwońca. Taki to świat mamy dzisiaj. Można sobie powinszować. Pięknych dożyliśmy czasów!

Tak sobie rozprawiali, aż zeszli na temat podróży naszych bohaterów.

— Winszujemy wam, aby Ten, którego Imię codziennie błogosławimy, okazał wam łaskę i spełnił to wszystko, czego my wam życzymy.

Beniamin był w siódmym niebie. Gratulacje sprawiły mu radość. Co gorsza, to wyraźne podlizywanie się dogadzało mu.

— Wiecie wy co, reb Beniaminie i wy, reb Senderl? — rzekli miejscowi Żydzi, gdy już wstawali od stołu. Mówili teraz bardzo wolno, sylabizując każdą literę. — Zrobimy tak, jak w takich wypadkach czynili nasi rodzice. Po prostu chodźmy wszyscy razem do łaźni. Po takiej podróży należy się wykąpać. Obolałym gnatom przyda się trochę pary. Można się

⁸⁷*Miszna* a. *Miszne* — starsza część *Talmudu*, zawierająca uporządkowane treściowo przepisy prawa religijnego i świeckiego; do niej odnoszą się komentarze *Gemary*. [przypis tłumacza]

ostrzyc, ogolić. Natychmiast poczujecie się lepiej. Tak, wierzcie mi, będzie najprościej. Możliwe, że łaźnia to nie jest ostatni krzyk mody. Wiemy, że u bezbożników łaźnia nie cieszy się dobrą sławą, ale przecież my ludzie nieuczeni. Postępujemy tak, jak nasi dziadowie. Porządny Żyd nigdy się łaźni nie wyrzeknie. Czym karczma dla chłopa, czym rzeczka dla kaczek, tym, i to w znaczniejszej jeszcze mierze, jest łaźnia dla Żydów. Żaden naród nie jest w stanie odczuć smaku łaźni, jedynie Żydzi. Tego smaku nie wyrazisz słowami. Łaźnia żydowska ma coś z religii, z misterium. Żyd jest zespolony z łaźnią więzami uczuciowymi. Łaźnia odgrywa w jego życiu niesłychanie ważną rolę. Dusza żydowska nie ruszy się z nieba, aby wejść w ciało człowieka, zanim nie przejdzie przez łaźnię. W inny sposób nie można jej w ogóle osiąść. Na nic tu się zdadzą najwymyślniejsze sposoby. Łaźnia to kwatera główna, sztab generalny pomiędzy niebem a ziemią. Zanim Żyd przyjdzie na świat, nim w jego ciele pocznie się coś ruszać, już wszystko o nim wiedzą łaźiebny i ła-

ziebna. Łaziebna w mykwie, zanurzająca kobiety żydowskie w wodzie, posiada już wcześniej wszystkie informacje. Wiemy, że Żyd na sobotę i na święto otrzymuje w darze nową duszę. Żyd, który nie wykąpie się przedtem w łaźni, nie odczuje wszak jej obecności w sobie. A bez tego jest jakoś mniej żywy. Po prostu zwiędły, nieświeży, przygasły. Czy widzieliście Żyda powracającego w piątek z łaźni? Po prostu kwitnie. Jest o całe lata młodszy. Owa odwieczna iskra żydowska rozżarza się w nim. Jego oczy jaśnieją pełnym blaskiem. Zapach faszzerowanej ryby, aromat przepysznego cymesu łechce jego podniebienie niczym wonne kadzidło. Nos wciąga z przyjemnością te zapachy. Delektuje się nimi, rozkoszuje. A w sercu gra muzyka. Tylko by chciał śpiewać, tylko koncertować. Treluje jak słowik. Śpiewa pieśni nad pieśniami. Jest wtedy podobny do rozpieszzonego dziecka. Rozpala się, rozplomienia. Prawie znajduje się na tamtym, lepszym świecie. Do łaźni Żyd powraca jak do ojczyzny. Do wolne-

go kraju, w którym wszyscy mają równe prawa i jednakowy głos. Tam, na równi z innymi, może osiągnąć najwyższe stanowisko. Może się wspiąć na najwyższy szczybel, na najwyższą ławkę. Tam może swoją biedną duszę odświeżyć, choćby na krótki czas. Może rozprostować swoje gnaty. Może zrzucić z siebie swój codzienny worek trosk i zmartwień. Oto czym jest łaźnia dla Żydów!

Dlatego też nic dziwnego, że zaproszenie do łaźni zostało przez naszych bohaterów przyjęte z zadowoleniem. Nie ociągając się zbyt długo, udali się w towarzystwie niedawno poznanych dwóch Żydów do łaźni. Do tej pory widzieli zwykłą, prostą łaźnię żydowską z małych miasteczek żydowskich. Z reguły mieściła się w obskurnym budynku. Brudna, zakopcona i zaniedbana rudera. Najczęściej usytuowana na peryferiach. Dostać się do niej nie było łatwo. Droga prowadziła przez wąskie, mocno sfatygowane kładki. Gdy nasi znajomi Żydzi zaprowadzili naszych bohaterów pod oka-

zały murowany gmach i oznajmili, że jest to łaźnia, ich zdumienie nie miało granic.

— Żółtodzioby z was jeszcze — powiedzieli im Żydzi. — Wejdźcie, za przeproszeniem, do środka. Tam dopiero zobaczycie!

Za progiem poczekalni błyszcząca malowana podłoga. Pokrywały ją barwne chodniki. Przybysze doznali wrażenia, jakby znaleźli się w jakimś zaczarowanym zamku, w pałacu ze wschodniej baśni. Wnet pojawią się księżniczki. Wejdą córki królów, aby ich przywitać. No i zacznie się życie. Hulaj dusza bez kontusza! Zamiast jednak spodziewanej księżniczki zjawił się obwieszony medalami żołnierz i grzecznie, układowanie poprosił gości o zdjęcie ubrań.

— Rozbierzcie się, za przeproszeniem, do naga — powiedzieli im sympatyczni Żydzi. — My w tym czasie uregulujemy rachunek za łaźnię.

Nie ma co! Parówka zapowiadała się na sto dwa. Nasi bohaterowie zdjęli z siebie ubrania. Zabrali rzeczy i zgodnie z obyczajem zamierzali wziąć się do dezynsekcji. Ich garderoba nie

składała się, jak wiadomo, z tuzina okryć. Mieli po jednej koszuli, którą nosili od kilku tygodni. Nic przeto dziwnego, że coś tam ich gryzło. Bez dezynsekcji nie obejdzie się w żadnym wypadku. Żołnierz jednak zabrał ich odzienia i zaprowadził naszych bohaterów do sąsiedniego pomieszczenia. Był to obszerny pokój, w którym ustawiono sporo ławek. Dookoła dużego stołu siedzieli jacyś elegancko ubrani ludzie. Beniamin i Senderl rozejrzeli się po sali i dokładnie ją zlustrowali. Ogarnęły ich wątpliwości. Gdzie tu miejsce na polewanie wody? Gdzie są rozżarzone kamienie? Co będzie z parówką?

— Czy tu żydowska bania? — zapytał Senderl, gdy tylko poczuł szturchnięcie Beniamina. Towarzysz polecił mu, bez zbytnich rozhorów, zasięgnąć informacji.

Zza stołu podniósł się jeden z mężczyzn. Podszedł do podróżników i obejrzał ich wnikliwie. Oni zaś stali nadzy, odziani tylko w cieleśną powłokę. Niemożebnie chude to były stwo-

rzenia. Skóra i kości. Elegancki pan przemówił do nich po rosyjsku z akcentem moskiewskim.

— Co on gada, Senderl? — zapytał Beniamin.

— Żebym to ja wiedział — Senderl tylko wzruszył ramionami. — Też mi mowa. Pożal się Boże, co to za język? Coś tam w kółko powtarza: „Bilet, bilet⁸⁸”.

— Oj, ty prostaku, co tu jest do rozumienia? To przecież łaźnia. Do takiej łaźni ani rusz bez biletu. Powiedz mu, że nasi przyjaciele zapłacili już za bilety.

— Jakże, panie? *Teje Żydki owże dali tuteczka za bilety* — wykrztusił Senderl. Omal się przy tym nie udławił. Więcej już nie potrafił z siebie wydobyć.

Tu wtrącił się Beniamin.

— Bilet, panie, to znaczy Żydki, nie przy mierzając, panie, *zapłatili* — zdawało mu się, że sprawę wyjaśnił dostatecznie zwięźle.

⁸⁸Coś tam w kółko powtarza: „Bilet, bilet”. — ros. билет (czyt. biliet) może znaczyć zarówno bilet, jak i legitymacja. [przypis edytorski]

Człowiek, który zbliżył się do naszych bohaterów, machnął tylko ręką. Wnet zaprowadzono ich do innego pomieszczenia. Pomyśleli wtedy: „Tu dopiero można będzie wziąć parówkę. Wreszcie można będzie po ludzku się wypocić”.

Kiedy w jakiś czas potem wypuszczono ich na ulicę, trudno było poznać naszych bohaterów. Zmienili się nie do poznania. Ogoleni, bez bród, bez pejsów. Oczy mieli wywrócone, jakby ze szkła. Duże krople potu na czole. Na twarzy gradowe chmury. Jakoś skurczyli się, zgarbili. Wstrząsały nimi dreszcze. Wokół zaś tylko żołnierze i żołnierze. Na niebie pojawiły się ciemne obłoki. Nagle oślepiające światło. To błyskawica przeszła niebo. Jasny blask oblał całą kompanię, a w ślad za błyskawicą uderzył piorun. Ciarki przechodziły po skórze. Rozszalała się burza. Kłęby pyłu unosiły się w powietrzu niczym duchy. Wiatr porywał i unosił śmiecie, słomę, liście oraz strzępy papieru. Odpadki wirowały w niesamowitym tańcu, kręciły się i ulatywały coraz wy-

żej i wyżej. Krowy opuściły pastwiska. Rycząc uciekały w popłochu. Burza szalała, błyskało i grzmiało. Wyglądało na to, że Pan Bóg skierował swój gniew na grzeszną ziemię. Bóg złapał się za głowę. Błyskał zagniewanymi źrenicami. Grzmiał piorunowym głosem. Na koniec rozległa się potężna detonacja. To grzmot nad grzmoty! Z nieba padały jak potężne łzy krople deszczu. Mieszały się one ze łzami i potem naszych nieszczęsnych bohaterów. Do głowy im nawet nie przyszło, że nie na pustyni, rojącej się od dzikich bestii, smoków oraz innych potworów, czyha na nich największe niebezpieczeństwo, ale właśnie tutaj, w mieście. Ten etap w dziejach ich wędrówki był najcięższy, najbardziej gorzki. Oto jeden Żyd polował na drugiego Żyda.

Czai się w kryjówce jak lew w gęstwinie,
Czai się, aby porwać człowieka bez paszportu.

Żyd starał się pochwycić rodaka i oddać pojmanego jako ofiarę za swoje dzieci lub dzieci innych Żydów. Tak się stało. Nasi biedacy nie zdawali sobie sprawy z tego, że faktycznie już znajdują się na pustyni, pośród dzikich bestii, wśród groźnych stworów. Zaś dwaj mili Żydzi to właśnie owe smoki.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY. ŻOŁNIERZYKAMI, NIESTETY, ZOSTALI NASI PODRÓŻNICY!

Możecie sobie wyobrazić położenie, w jakim znaleźli się nasi nieszczęśni bohaterowie. Zażyste, niegodny pozazdroszczenia los. Tylu okrutnych cierpień doznali! Zresztą postaram się powściągliwie opisać ich tortury. Sami chyba rozumiecie, że z początku byli nieco oszołomieni. Nie zdawali sobie sprawy z tego, co się z nimi dzieje. Obce otoczenie zaskakiwało ich. Koszary, żołnierze, język, którym się wokół posługiwano, no i czynności, które przykazano im wykonywać. Żołnierskie płaszcze wisiały na nich

niczym dziadowskie worki. Wcale nie przypominały szyneli, raczej obszerne babskie suknie. Czapki zaś, o zgrozo, sterczały na ich głowach jak czepki na ogolonych głowach żydowskich mężatek. Prawdziwa maskarada, zabawa. Nic innego, tylko dwaj Żydzi przebrali się, stroją sobie żarty i żartują z pozostałych żołnierzy. Przedrzeźniają ich. Zdawało się, że chcą udowodnić, iż wszyscy na placu koszarowym to skończeni idioci. Biada karabinowi, który dostał się w ręce naszych bohaterów. Wówczas przestawał być bronią. Bardziej przypominał pogrzebacz. Na ćwiczeniach śmiesznie wymachiwali rękami i nogami. Z tego powodu nie skąpiono im razów. Nie ma jednak na tym świecie, rzecz to ogólnie znana, takiego nieszczęścia, do którego człowiek by się nie przyzwyczaił. Nie tylko zresztą człowiek. Inne stworzenia też potrafią z czasem przywyknąć. Mówimy na przykład: „Wolny jak ptak”. A czyż złowiony i osadzony w klatce ptak nie przyzwyczaja się z czasem do swego położenia? Stopniowo zaczyna przyjmować pokarm. Nabiera

apetytu i dziobie ziarnka wrzucone do klatki. Podfruwa, przeskakuje z miejsca na miejsce. I śpiewa coraz radośniej. Zdaje mu się już, że klatka to cały świat, cała ziemia wraz z jej lasami i polami.

Czas mijał i nasz Senderl z wolna przyzwyczajał się do nowej sytuacji. Uważniej przypatrywał się ćwiczeniom z musztry. Starał się naśladować ruchy żołnierzy, choć robił to oczywiście na swój sposób. Prawdziwa to była przyjemność patrzeć i oglądać, jak Senderl powtarza z własnej woli, dla siebie samego, wojskowe postawy. Wyciągał się niczym struna, wysoko zadzierał głowę. Nadymał policzki i maszerował unosząc wysoko nogi. A był to chód iście indyczy. Senderl kręcił się bowiem w kółko, aż wreszcie nogi mu się plątały i padał na ziemię. Inaczej Beniamin. On w żaden sposób nie mógł przyzwyczaić się do nowych warunków. Był z gatunku owych ptaków, które nazywamy wędrownymi. Takiego w jednym miejscu nie utrzymasz. Regularnie na zimę musi odlatywać. Instynkt ten oraz żyłka wędrownicza

ukszałtowała charakter tych ptaków. Jeśli go wsadzić do klatki, to koniec. Traci ochotę do życia. Nie przyjmuje pokarmu, przestaje pić. Miota się po klatce, drapie o gołe ścianki. Szuka szczeliny, aby się wydostać na wolność. Za wszelką cenę chce się wyrwać. Myśl o kontynuowaniu podróży do dalekich krajów nie opuszczała Beniamina. Drażyła jego mózg jak natrętny robak. Stała się nieodłączną częścią jego osobowości. Dla tej idei przecież porzucił żonę i dzieci. Zamiar ten gnębił go i nie przestawał niepokoić. Słyszał głos: „Ruszaj, Beniaminie, daleka czeka cię droga!”.

Tymczasem minęła zima, a biedny Beniamin przeżywał ciężkie chwile. Pewnego dnia, a było to już po święcie Pesach, gdy Senderl akurat ćwiczył musztrę, Beniamin przystąpił do niego i powiedział:

— Słowo daję, Senderl, że zachowujesz się jak dzieciak. Bawisz się i dokazujesz, jakbyś był małym urwisem. Nie ma w tym sensu. Do czego to prowadzi? Nie zapominaj, że jesteś, dzięki Bogu, człowiekiem żonatym. Nie mówię już

o tym, żeś Żyd. Dlaczego więc zajmujesz się takimi głupstwami? Po co sobie tym głowę zawracasz? Co za różnica, czy na komendę: „W tył zwrot”, odwrócisz się lewą czy prawą nogą? Zresztą mniejsza o to. Czy może to w ogóle mieć jakieś znaczenie?

— A ja niby skąd mam wiedzieć? — odparł Senderl. — Jest rozkaz w tył zwrot, to niech będzie w tył zwrot. Też mi zmartwienie.

— A o naszej podróży zapomniałeś? Na miłość boską, co będzie z naszą wyprawą? Co ze smokiem? Co z mułem? Co z potworami? — gorączkował się Beniamin.

— Naprzód marsz! Lewą marsz! — Senderl sam wydawał sobie komendy i wysoko unosił nogi.

— Pusty śmiech ogarnia człowieka, płakać się chce, gdy tak patrzę na ciebie, jak maszerujesz. Wstyd. Przysięgam, że wstyd. Powiedz lepiej, młodziku, ruszamy czy nie?

— Jeśli chodzi o mnie, to z przyjemnością. Grunt, czy oni nam pozwolą?

— Jaki z nas dla nich pożytek? Na co my możemy im się przydać? Proszę cię bardzo, Senderl, odpowiedz! Odpowiedz, jakieś Żyd. Wyobraź sobie taką sytuację: Wróg, nie daj Boże, napada, a my, czyli ja z tobą, mamy mu stawić opór. Możesz to sobie wyobrazić? Załóżmy, że powiesz mu nawet tysiąc razy: „Odejdź, bo jeśli nie, to zrobię pif-paf”. Przypuszczasz, że się przestraszy i posłucha? Nic podobnego. Wyciągnie łapy, aby cię pochwycić. Będziesz miał wyjątkowe szczęście, jeśli ci się uda wyrwać cało z jego rąk. A możesz mi wierzyć, że tak będzie. Jesteśmy tu zupełnie niepotrzebni. Oni także chętnie by się nas pozbyli. Na własne uszy słyszałem, jak ten ich najstarszy kiedyś tak się o nas wyraził: „Skaranie boskie — powiedział — mam z nimi”. Gdyby to tylko od niego zależało, to by już dawno posłał nas do wszystkich diabłów. A mówiąc prawdę, do czego możemy im się przydać? Od samego początku, możesz mi zaufać, Senderl, sprawa nie była całkiem w porządku. Nasz związek z nimi to czysty mezalians. My im nie jesteśmy

potrzebni i oni nam nie są potrzebni. Ci Żydzi, którzy nas oddali w ich ręce, musieli nie-
mało o nas napleść. Nie ulega wątpliwości, że
przedstawili nas jako Bóg wie jakich zuchów.
Ze z pewnością znamy się, i to doskonale, na
taktyce wojennej. A że owi Żydzi oszukali ich,
nie nasza w tym wina. Nas też oszukali. Przy-
byliśmy przecież do tego miasta z określonym
zamiarem. Chcieliśmy zebrać trochę pieniędzy
na dalszą wyprawę. O taktyce wojennej mo-
wy nawet nie było. Gotów jestem przysiąc, i to
uroczyście, w tałasie. Wzmianki nawet o tym
nie było. Takie ordynarne sztuczki to zwykłe
świństwo. To już dno. Oni, to znaczy wojsko-
wi, też nie są winni, że nas oszukano. My zaś
nie ponosimy winy za to, że oszukano wojsko-
wych. Winni są tylko ci nasi znajomi, ci dwaj
Żydzi. Oni oszukali obie strony. Tamtych i nas.
Tylko oni są winni i nikt poza nimi. Nikogo
innego nie mamy prawa oskarżać.

— Niechaj tam! Ale co chcesz, Beniami-
nie, abyśmy zrobili?

— Chcę — odpowiedział Beniamin — abyśmy ruszyli w dalszą drogę. Jak w żydowskim porzekadle: „Koniec z narzeczoną, znowu panna”. Czyli wrócimy do punktu wyjścia. Wydaje mi się, że nikt nie może nam tego zabronić. Zarówno w świetle prawa, jak i w oparciu o podstawowe zasady sprawiedliwości. Co zaś tyczy się twoich obaw, że mimo wszystko może się znaleźć ktoś, kto nas zatrzyma, mam niezawodny sposób, by tego uniknąć. Musimy wymknąć się cichaczem. Nikt nie musi o tym wiedzieć. Nikomu nic do tego. Nie mam obowiązku urządzać pożegnania.

— Ja też uważam, że pożegnanie jest zbędne. Najlepszy dowód, że przed rokiem opuściliśmy nasze domy i nikogo o tym nie powiadomiliśmy. Nawet żon i dzieci. Nie było ani jednego słowa pożegnania, nawet najprostszego: „Pocałujcie mnie...”.

Po tej rozmowie bohaterowie nasi znów zaczęli myśleć o podjęciu podróży. Zastanawiali się, w jaki sposób uciec. Beniamin zapalił się do tego planu. Nie mógł usiedzieć w miej-

scu, zżerał go niepokój. Puszył się jak kura na wiosnę, gdy przyjdzie jej wysiadywać jajka. Był tak pogrążony w rozmyślaniach, że nie słyszał i nie widział tego, co się wokół niego działo. Przechodził kiedyś obok niego oficer, a roztagoniony Benjamin zapomniał zaszalutować. Dostał naturalnie po twarzy i po karku. Nawet się nie skrzywił, jakby nie o niego chodziło. Gdy wyjaśniano mu zasady musztry żołnierskiej, jednym uchem łowił słowa, drugim natomiast je wypuszczał. Dla niego było to tureckie kazanie. Zaprzątała go jedna myśl: podróż. Duchem bujał już gdzieś daleko.

Pewnej nocy, gdy żołnierze spali już w najlepsze, Benjamin zbliżył się na czubkach palców do Senderla i szeptem zapytał:

— Czy jesteś gotów?

Senderl skinął głową. Ujął przyjaciela za poły i wspólnie, po cichu, wyślizgnęli się z kwatery. Na dworze dał ciepły wietrzyk. Czarne i granatowe chmury wędrowały po niebie. Szeregiem, jedna za drugą, niczym furmani na wozach pełnych towarów, przesuwały się coraz szyb-

ciej i szybciej. Spieszyły się chyba, aby zdążyć w porę na wielki jarmark, który widocznie gdzieś w niebie miał się właśnie odbyć. Księżyc jak subiekt sklepowy towarzyszył tej dziwnej karawanie. Od czasu do czasu, na krótką tylko chwilkę, wysuwał swoją łysą czaszkę, po czym znowu się chował. Odpoczywał zanurzony w obłokach. Owinął się chmurami jak prześcieradłem. Czarnym prześcieradłem.

Nasi bohaterowie posuwali się w ciemnościach. Przed nimi nagle wyrósł parkan. Przy nim wznosiła się cała góra drzewa opałowego; wspięli się na nią. Stąd łatwo było przesadzić płot. Wtem Senderl stwierdził, że czegoś mu brakuje.

— Żle z nami — szeptem przemówił do Beniamina — zostawiłem torbę. Czy mam po nią wrócić?

— Broń Boże, za nic w świecie. Jeśli Bóg ma pomóc człowiekowi, to znajdzie radę i na torbę.

— Przypominam sobie — powiedział Senderl — że we śnie ostrzegał mnie mój, oby dusza jego była w raju, dziadek: „Wstań — powiedział do mnie — i uciekaj, gdzie cię tylko oczy poniosą”. Oby jego zasługi wsparły nas teraz u Boga. To był przecież pełną gębą Żyd, nie jakiś tam Żyd w cudzysłowie. Babcia, świeć Panie nad jej duszą, zwykle opowiadała...

Zanim jednak Senderl zdążył wyjawic, o czym opowiadała jego babka, usłyszeli żołnierza, który stał w pobliżu na warcie. Nasi bohaterowie przyłgnęli do parkanu i wstrzymali oddech. Trwając w bezruchu, zachowywali absolutną ciszę. Na tle parkanu wyglądali jak dwie kukły. Po chwili nieruchome manekiny zaczęły przejawiać oznaki życia. Powoli zsuwały się z parkanu. Potem na czworakach odpełzli od płotu. Bóg pozwolił im wreszcie ominąć wartownika, który wciąż trwał na swoim posterunku. Wkrótce znaleźli się w wąskim zaułku. Tu powstali z ziemi. Chwila postoju dla nabrania oddechu. Byli z siebie zadowoleni.

— Moja błogosławionej pamięci babcia zwykła była — ciągnął Senderl — opowiadać o tym, jak dziadek, niech mu ziemia lekką będzie, nie przestawał przez całe swoje życie marzyć o podróży do Ziemi Izraela. Tuż przed śmiercią podniósł się z łoża i wyrzekł te oto słowa: „Jeśli ja sam nie zasłużyłem u Boga, aby zobaczyć Ziemię Świętą, to któreś z moich dzieci tam pojedzie. Jestem tego pewien”. Serce mi teraz podpowiada, że mnie miał na myśli. Oby też tak się stało! Oby moje słowa dotarły do uszu Pana Boga.

Słowa Senderla nie dotarły jednak do uszu Pana Boga. Posłyszały je za to inne zgoła uszy. Senderl nie zdążył jeszcze dokończyć swego życzenia, gdy rozległ się czyjś głos:

— Kto tam? — Pytanie postawione było po rosyjsku, z moskiewskim akcentem. Nie uzyskawszy odpowiedzi, pytający podszedł bliżej. Powtórzył pytanie. Na nieszczęście księżyc właśnie wychylił się zza chmury. Jego światło kąpało obficie naszych biednych bohaterów.

rów. Twarze blade jak ściana. Nie mogli wydobyć z siebie głosu. W świetle księżycy widać było, jak oficer beszta ich niemiłosiernie. Wymachuje rękami. Posyła im przy okazji wiązanki wojskowych przekleństw. W przekleństwach, rzecz jasna, była mowa głównie o matkach. Długo to nie trwało i nasi bohaterowie znaleźli się w areszcie na wartowni. Nie sposób opisać ich cierpień. Po prostu brak słów. Stwierdzą tylko, że zmizernieli fizycznie i upadli na duchu. Senderl przynajmniej spał trochę. Przez kilka godzin był wolny od zmarwień. Na osłodę miał parę przyjemnych snów. Dziwna rzecz, ale coraz częściej się zdarzało, że nawiedzał go we śnie dziadek. Przekomarzał się z wnukiem. Nie przychodził też nigdy z pustymi rękami. Pewnego razu przyniósł mu łuk, szabelkę i grzechotkę purymową. Szczypał go przy tej okazji w policzek i powiadał: „Przyniosłem ci, urwisie, zabawkę. Baw się. Zrób pif-paf”. Innym razem podarował mu kwadratowego bąka. Bąk zatrzymał się na literze *gimel*. Senderl wygrał wtedy u dziadka grosik. Do-

brze jest człowiekowi. Dobry jest sen. A czyż cały świat, całe życie nie jest jednym długim snem? Benjamin nie mógł zasnąć nawet na chwilę. Był wzburzony. Wszystko w nim się kotłowało. Patrzył na świat spoza krat. Oto słońce świeci pięknym blaskiem. Oto zielenią się i kwitną drzewa. Ptaki fruują w powietrzu. Przecież to najlepsza pora do wędrowania. A on siedzi pod kluczem. Nie może się ruszyć, cierpi. Nie może usiedzieć w miejscu, wierci się. Raz po raz chwyta się za głowę. Biega po celi i krzyczy nieprzytomnie. Żali się.

— Na Boga, co ja im takiego zrobiłem? Czego chcą ode mnie?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY. KONIEC Z NARZECZEŃSTWEM — ZNO- WU PANNA

W kilka dni później w kancelarii garnizonu odbyła się narada. Za stołem zasiadło wielu oficerów, wśród nich jeden pułkownik i jeden generał. W drzwiach pojawili się dwaj żołnierze.

Czekali z opuszczonymi głowami. Przypominali myszy, które akurat wyciągnięto z garnka kwaśnego mleka. Oficerowie uważnie ich oglądali. Lustrowali z góry na dół. Wymieniali uwagi i uśmiechali się pod wąsem. Jeden z żołnierzy szepnął do drugiego:

— Słuchaj, Senderl, gdybym nawet miał tu trupem paść, to wygarnę im całą prawdę. Nie mogę już więcej.

— Jeśli o mnie chodzi, to możesz wygarnąć. Wal kawę na ławę — odparł jego druh. — Chcesz tak, niech będzie tak. Też mi zmarwienie.

— To wy jesteście tymi gagatkami? To wy chcieliście nocą zdezerterować z koszar? — głos generała brzmiał surowo. — A wiecie przynajmniej, jaka kara was czeka?

— Uwa, uwa! — Benjamin rozpoczął osobliwą przemowę. Zdał się całkowicie na łaskę Bożą i gadał ni to po żydowsku, ni to, pozał się Boże, po rosyjsku. Palnął taki wykład, że nawet sam Chajkl Jąkała przegrałby z nim bez wątpienia. Bez przesady.

Generał odwrócił głowę na bok, roześmiał się i machnął ręką. Wtedy włączył się pułkownik.

— Nie ma co, zawiniliście. Trzeba was surowo ukarać.

— *Wasze błogrodzie* — rzekł Benjamin. Głos miał podniesiony. — Jakże to? Chwytać ludzi w biały dzień i sprzedawać ich niczym kurczęta na targu wolno, natomiast gdy ludzie chcą się bronić, chcą się ratować, to już nie wolno? Wy to nazywacie przestępstwem? Jeśli tak jest, to znaczy, że świat nierządem stoi, że rządzi nim bezprawie. Dalibóg, nie wiem, co wolno, a czego nie wolno. Bardzo was proszę, spytajmy ludzi. Niech się ludzie wypowiedzą. Niech powiedzą, kto jest winien. A co by to było, gdyby na przykład pojmano któregoś z was, panowie, na prostej drodze i załadowano do worka. Czy zasłużyłby na karę, gdyby starał się wyrwać z tego worka? Kategorycznie wam oświadczam, że od początku nasza sprawa pachniała oszustwem. Winni są owi dwaj Żydzi. Jeden Bóg wie, co tam nagadali. Przepi-

sowo i oficjalnie to wam meldujemy. Powiedz i ty, Senderl. Mów ty teraz. Czemu stoisz jak głąb? Zdaj się na Boga i wal prosto z mostu! Tylko bez strachu. Mów razem ze mną. Oświadczam uroczyście, że o taktyce wojennej nie mamy zielonego pojęcia. Nie mamy i mieć nie chcemy. Jesteśmy, dzięki Bogu, ludzie żonaci. Nam co innego w głowie. Kwestiami wojskowymi nie mamy zamiaru się zajmować. Nie wchodzi nam zresztą do głowy. Zatem powstaje pytanie: do czego jesteśmy wam potrzebni? Zdaje się, że sami chętnie byście się nas pozbyli.

W samej rzeczy, Beniamin miał rację. Od dłuższego już czasu chciano się ich pozbyć. Dowództwo jednostki już się na nich poznało. Miało zresztą dość czasu, aby należycie ocenić prezencję i postępowanie poborowych. Poznało już język, którym się posługiwali. Obserwowało ich podczas musztry i na ćwiczeniach. Wiedziało już, z jakimi to istotami przyszło mieć do czynienia. Dowództwo często musiało się na ich widok powstrzymywać od śmiechu. Celem

obecnej narady oficerów było zatem uważne przesłuchanie naszych bohaterów.

Zamierzano definitywnie ustalić, o co ten cały ambaras. Beniamin i Senderl mogli swobodnie mówić. Chwała Bogu, spodobali się. Nawet bardzo. Tak dalece, że oficerowie pękali ze śmiechu. Mieli ogromną uciechę.

— Więc jak, doktorze? — zapytał generał oficera, który wdał się w dłuższą rozmowę z naszymi bohaterami. Doktor popukał się w czoło i skinął głową. Sprawa była oczywista. Brak im piątej klepki. Nadchodził finał. Oficerowie naradzali się. Coś tam wreszcie zanotowali. Postanowiono zwolnić naszych bohaterów od dalszego odbywania służby wojskowej.

— Idźcie sobie — usłyszeli na pożegnanie — z Bogiem!

Beniamin pięknie się skłonił. Senderl wyprężył się jak struna i marszowym krokiem ruszył w ślad za Beniaminem.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest udostępniony na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa - Na Tych Samych Warunkach 3.0.PL.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3.

Fundacja Nowoczesna Polska zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony:
<http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/podroze-beniamina-trzeciego>

Tekst opracowany na podstawie: Mendel Mojcher-Sforim, Podróże Beniamina Trzeciego, tłum. Michał Friedman.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Fundację Nowoczesna Polska z książki udostępnionej przez Fundację im. Michała Friedmana. Dofinansowano ze środków Programu Archiwistyka Społeczna Narodowego Instytutu Audiowizualnego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: Podróże Beniamina Trzeciego, Agata Środa, CC BY SA

ISBN 978-83-288-0550-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przeznacz 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska,
MENDELE MOJCHER-SFORIM *Podróże Beniamina Trzeciego* 204
KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę